ŚWIATOWID

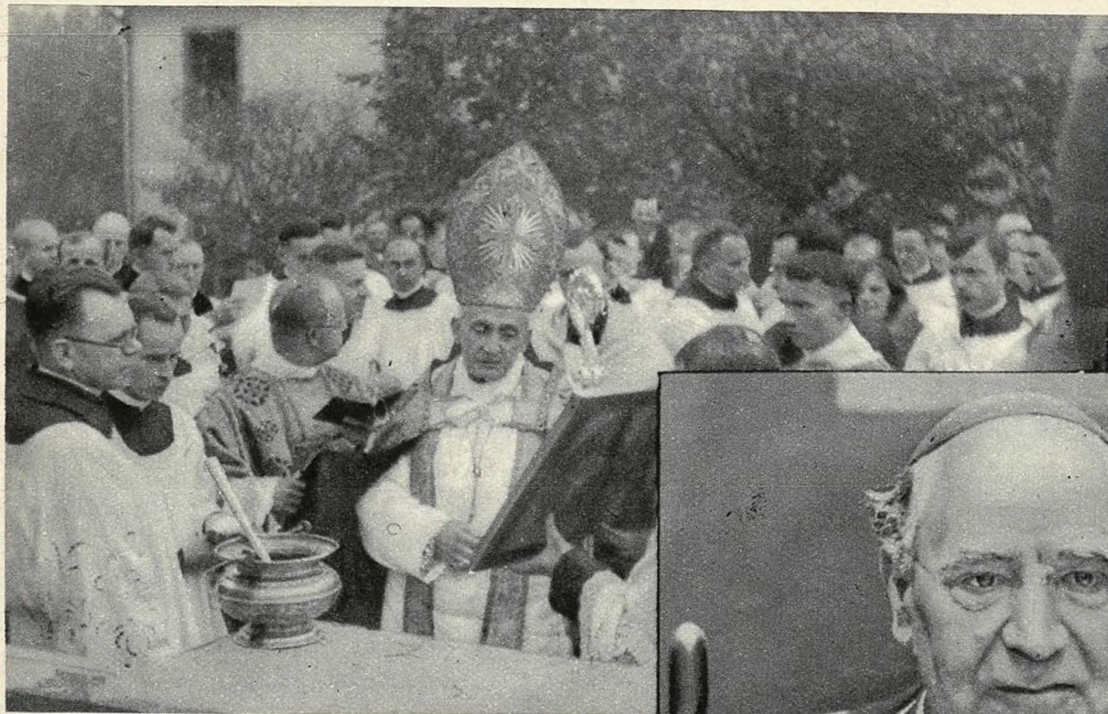
NR: 42

WOJNA BOLIWJI Z PARAGWAJEM.



Przewlekająca się wojna Boliwji z Paragwajem ma się już ku końcowi, dzięki interwencji Ligi Narodów i Stanów Zjedn. A. P. Na razie przewaga jest po stronie wojsk paragwajskich, którym udało się zdobyć po zaciętych walkach port Boqueron, stanowiący najważniejszy punkt strategiczny w strefie Gran Chaco Na zdjęciu: żołnierze paragwajscy, konwojujący wziętego do niewoli lotnika boliwijskiego. SCHERL.

ECHA TYGODNIA.



POŚWIĘCENIE NOWEGO KOŚCIOŁA W DĘBNIKACH. W ub. niedzielę ks. Metropolita Sapieha poświęcił na przedmieściu Krakowa w Dębnikach kamień węgielny (na zdjęciu) pod budowę kościoła parafjalnego pod wezwaniem św. Tereski od Dzieciątka Jezus. Kościół ten powstanie, jako wotum za przyłączenie kilkunastu gmin podmiejskich do Krakowa za prezydentury ś. p. Juljusza Lea w 1909 r.

Ag. fot. „Światowida".



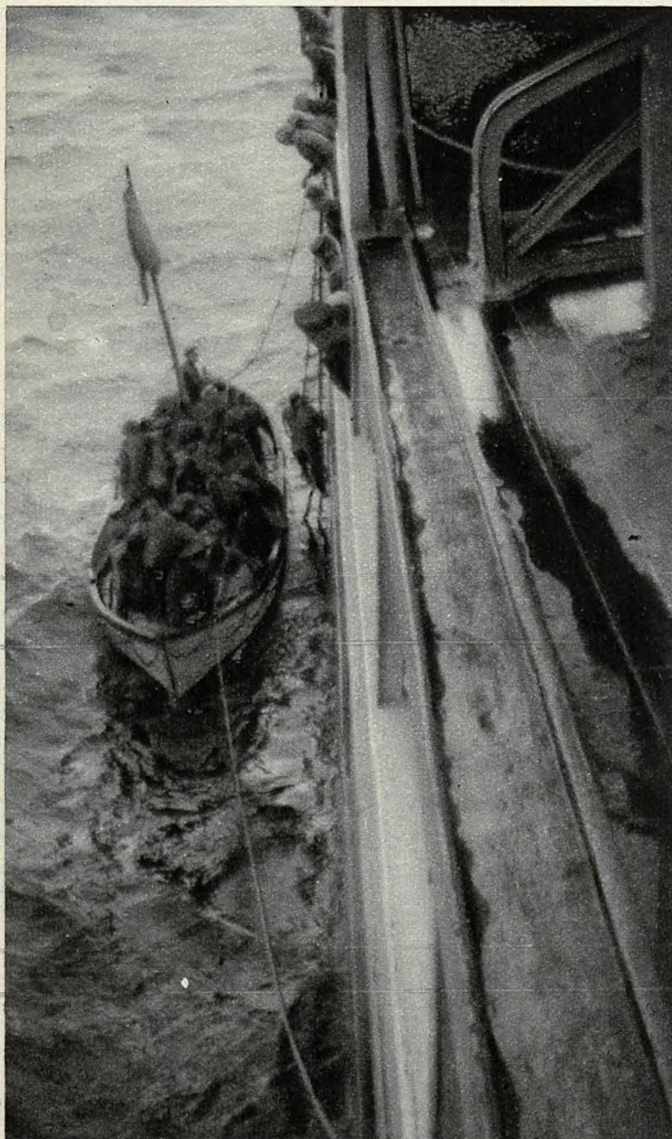
WALKA MEKSYKU Z KOŚCIOŁEM. Z Meksyku został wydalony nuncjusz papieski arcybiskup Leopold Ruizy Floros. Równocześnie wszystkie kościoły i klasztory zostały zamknięte a odprawianie nabożeństw dozwolone tylko za specjalnem zezwoleniem władz administracyjnych. Za przykładem Meksyku poszła i Boliwja, która przygotowuje ustawę o zamknięciu wszystkich klasztorów i konfiskacie ich dóbr. W razie wejścia w życie tej ustawy najbardziej ucierpiałby zakon Franciszkanów, którzy w 1888 r. z Tyrolu przesiedlili się do Boliwji i objęli tereny, posiadane niegdyś przez Jezuitów w Chiquitos a obejmujące 100.000 km. kwadr. powierzchni.

Keystone, Berlin.



ZGON MECENASA ŚMIAROWSKIEGO. W sobotę zmarł na udar serca w Warszawie ś. p. dr. Śmiarowski, wybitny działacz niepodległościowy i ludowy. Piastował on kilkakrotnie mandat ze stronnictwa „Wyzwolenie", oraz był w r. 1919 wiceministrem sprawiedliwości. Ostatnim jego głośniejszym występem była obrona posła Liebermana w procesie brzeskim.

Ag. fot. „Światowida".



KATASTROFA „NIEMNA". Dnia 1 października 1932 o godz. 3-ciej w nocy zatonął w cieśninie Kattegat nasz okręt handlowy „Niemen", zderzywszy się z żaglowcem fińskim „Lawhill". Przyczyną katastrofy była gęsta mgła i brak świateł sygnałowych na „Lawhillu". Załoga „Niemna" została uratowana, spędziła jednak 7 godzin w szalupach. Na zdjęciu szalupa z rozbitkami przy szwedzkim parowcu „Kronprinzessin Margaretta".



NIEMCY NA GROBIE Ś. P. POR. ŻWIRKI I ST. WIGURY. Dnia 6 b. m. przybył specjalnie z Berlina kpt. Reinhardt, jako delegat Aeroklubu niemieckiego, aby złożyć wieniec na grobie (na zdjęciu) ś. p. por. Żwirki i inż. Wigury. Ten piękny gest lotników niemieckich spotkał się z zasłużonem uznaniem ze strony społeczeństwa polskiego.



Paggy Sweeney, córka znakomitego badacza przeszłości Inków Dana, w stroju narodowym Inków.
The New York Times.

ODKRYCIE LEGENDARNEGO SKARBU INKASÓW.

W Ameryce południowej coraz intensywniej prowadzone są badania nad ludami, której kraj ten zamieszkiwały przed najazdem Hiszpanów i Portugalczyków, t. j. na przełomie XV-go i XVI-go wieku, a które zczasem prawie zupełnie wyginęły, wytępione ogniem i mieczem. Nieliczni ich potomkowie, zmieszawszy się z innymi ludami, najrozmaitszych ras i narodowości stanowią obecnie najniższe warstwy ludności, które straciły zupełnie łączność ze swoją świetną przeszłością.

Z pośród ludów tych najwyżej cywilizacyjnie i kulturalnie wznieśli się Astekowie, Toltekowie i Inkowie, czyli Inkasi. Ci ostatni należą do grupy lingwistycznej Quechua.

Około 1100 r. po Chr. opuścili oni swoje siedziby w okolicy Pacaritampu i wyruszyli na podbój sąsiednich plemion rolniczych, które wiodły spokojny żywot. Inkowie ujarzmili ich i zmusili do płacenia haraczu. Państwo przez nich założone, na terytorjum dzisiejszego Peru miało organizację czysto-militarną. Każdy obywatel był tam obowiązany do służby wojskowej i odpowiednio kształcony.

Potężne twierdze, pobudowane w ważnych strategicznych punktach, broniły dostępu do kraju. Wznoszono je z kamienia. Do najpotężniejszych należały: Sacsahuaman, Ollantaitambo i Pisac, których ruiny dotąd zachowały się.

W pośrodku każdej twierdzy mieścił się olbrzymi dziedziniec, przy którym znajdowała się świątynia boga słońca i księżyca a także pałac królewski. Król miał władzę absolutną, która nawet nie kończyła się z jego śmiercią. Zwyczaj bowiem nakazywał, aby ciało królewskie, odpowiednio zabalsamowane, umieścić w świątyni, w pozycji siedzącej, na szczero-złotej płycie. Codziennie do takiej mumji zbliżał się kapłan i odbierał od niej rozkazy, które poddani musieli ślepo wykonywać. Nietrudno odgadnąć, że system takiego rządzenia „zza grobu" prowadził do najrozmaitszych nadużyć, zwłaszcza, że zczasem królów mumij było kilkunastu i każdy z nich chciał rozkazywać.

Niektórzy przypuszczają, że te właśnie rządy mumij były początkiem końca państwa Inków, któremu ostateczny kres położyli Hiszpanie.

Inkowie byli świetnymi budowniczymi. Ich stolica Cuzzo przedstawiała się naprawdę imponująco. Biegły z niej na cztery strony świata znakomite drogi, na których nie brakło mostów, przerzucanych przez szerokie rzeki. Dotąd zachował się wiadukt w Pachachaca, który wznosi się na wysokość 49 m.

Inkowie czcili słońce, księżyc, boga piorunów i herosów, z których wyróżniali się trzej: Viracocha, Huiracocha i Pachacamaca.

Bogom składano krwawe ofiary, przeważnie z pojmanych jeńców. Ofiarę taką kładziono skrępowaną na ołtarzu kamiennym, a następnie kapłan rozrywał jej piersi i wyrywał serce, które rzucał przed ołtarz boga-słońca. Takie same ofiary składali i Toltekowie swoim bogom w Meksyku. Czasami w jednym dniu ginęło w ten sposób i stu ludzi.

Do najsłynniejszych badaczy starożytnych Inków należy Amerykanin Dan Sweeney i jego żona Edyta. Chlubą ich są cenne zbiory etnograficzne, odnoszące się do Inków i ich dzisiejszych potomków.

Sensacją ostatnich dni stanowi odkrycie legendarnej doliny Inkasów w Peru, zwanej Quittanasca, gdzie znaleziono drogi, zamki i tunele i inne pomniki z czasów Inkasów. Prawie równocześnie ekspedycji, bawiącej w Guayaquil w Ekwadorze udało się odszukać nieznane grobowce Inkasów z bezcennemi wprost skarbami. Wartość samego złota (140 brył) wynosi dziesiątki miljonów. Na razie bliższych szczegółów brak, niewątpliwie jednak odkrycia te będą punktem zwrotnym w badaniu tajemniczej przeszłości Inków.

J. L.



Potomkowie dawnych Inków, zajęci wyplataniem koszów w ochronce katolickiej w Peru.
The New York Times.

Gaude Mater Polonia.

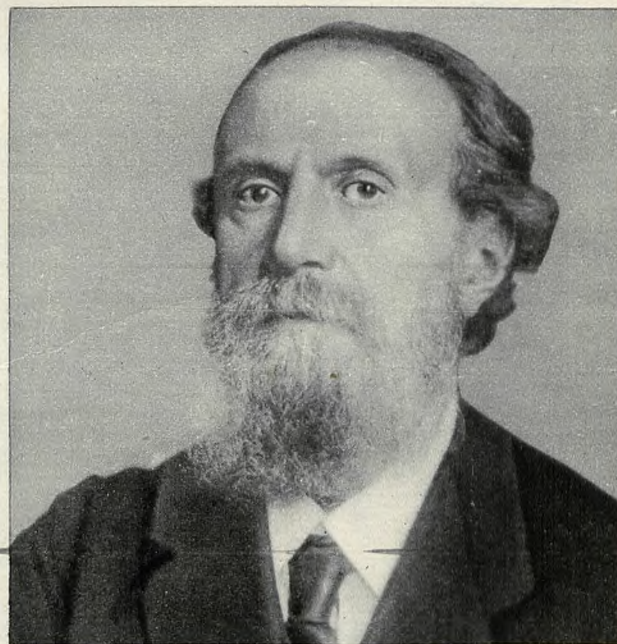
Znowu ruchliwa fala młodego życia wdarła się w smętną pustkę murów uniwersyteckich. Czarne tablice, świecące martwo wzdłuż majestatycznych korytarzy, pokryły dziesiątki kolorowych afiszów. U wejścia kilka rąk podaje na prawo i na lewo ulotki. „Tylko my stoimy na straży waszych interesów! Wstępujcie wszyscy w nasze szeregi! — woła kartka niebieska. — „Nie dajcie się zwodzić, prawda tylko u nas! Przyjmujemy nowych członków!“ — zaprasza kartka różowa. „Precz!‘ — woła co drugie słowo ulotka purpurowa ze złości i zapału. Fuks wszystkie kartki chowa starannie do kieszeni i rozgląda się po vestibulum. Jest pełno i gwarno; fuks jest ciągle potrącany, popychany — wszystkiemu się dziwi, nic nie wie i o wszystko chce pytać. Nazwiska, wypisane na tablicy korespondencyjnej, zaciekawiają go. Pyta się więc jakiegoś starszego kolegi: „co to jest?“. „To jest czarna lista wszystkich źle uczących się“ — odpowiada wytrawny akademik z miną chytrą, rad, że fuks „dał się nabrać“.

Przez kilka pierwszych dni fuks jest stale „nabierany“ i „nabijany w butelkę“. Parę miesięcy temu troszczył się o to, czy maturę zda, teraz musi się troszczyć o to, co z nią zrobić. Co studjować? Myślał nad tem sam Fuks, myśleli mama i papa, martwiła się ciotka, radził wuj, plotkowali znajomi. Fuksy męskie wahają się zwykle między prawem i medycyną; jednostki poetyczne, o „ukrytych“ zdolnościach literackich, wybierają polonistykę. Fuksy żeńskie, vel fuksice, idą przeważnie na farmację lub polonistykę. Zakres zainteresowań jest bardzo szeroki, zamiłowania wielce elastyczne i decyzja niesłychanie szybka. Dzięki temu bardzo łatwo fuks, czy fuksica rezygnuje z farmacji na rzecz filologji klasycznej, lub z prawa na rzecz mineralogji. Ten i owa zapisuje się „na języki“, choć zna zwykle bardzo niedokładnie tylko jeden. — Ten i ów nie wie wogóle co wybrać i zapisuje się „na warjata“ na prawo. Fuks „praktyczny“, który chce uchodzić za doświadczonego, głosi wszystkim wokoło, że wogóle nie warto studjować, bo we wszystkich działach jest nadprodukcja. — Fuks ambitny dokłada wszelkich starań, aby nie uchodzić za nowicjusza w życiu akademickiem. Chodzi wielce „stanowczym“ krokiem, na wszystkich (z wyjątkiem wyższych od siebie) patrzy z góry i pyta z nonszalancją towarzyszy „ogonka“: „Pan skończył tylko jedno gimnazjum? Mnie wyrzucali po kolei z dwudziestu!“ — Próżność i chęć odmładzania się nie jest cechą wyłącznie kobiecą; fuks, który nie przychodzi na uniwersytet wprost z gimnazjum, pyta się troskliwie, czy nie wygląda zbyt staro, jak na pierwszorocznego. O ile fuks (męski) czuje się w obowiązku wszystko i wszystkich traktować „per nogam“, o tyle fuksy żeńskie są niesłychanie przejęte ważnością chwili i wszystkie formalności wstępne traktują bardzo poważnie. Pierwszem ciężkiem przejściem tegorocznych fuksów było badanie lekarskie. W szkole lekarz jest dobroczyńcą, który może „znaleźć“ chorobę i zwolnić na kilka dni z lekcyj. Tutaj jest groźnym sędzią, który może przeszkodzić obleczeniu się w „akademicką skórę“, symbol swobody i wolności. Pokój roentgenowski robi wrażenie loży masońskiej; „profan“ błądzi, potyka się o niewidzialne przeszkody, jakaś nieznana ręka wskazuje mu drogę, a tajemniczy głos rzuca komendę: „Proszę się odwrócić! Proszę zakasłać!“. Badanie lekarskie skończone; —mamy i ojcowie, towarzyszący fuksom, czekają na nich cierpliwie. Następuje drugi etap w akademickiem życiu fuksa. Trzeba wypełnić indeks, karty wpisowe; fuks jest przejęty, chciwy wiedzy, wpisuje więc niesłychane ilości wykładów i ciągle się boi, że to jeszcze będzie za mało. Nie wie co robić, jak się omyli; boi się przekreślać i pyta, czy wolno wycierać gumą. Zagląda co chwila do „Informacji o życiu akademickiem“. Wreszcie z naręczem papierów kroczy pod drzwi Dziekanatu; ogonek jest długi, czeka się bez końca, aż wreszcie wpisy na ten dzień są skończone i fuks ze zwieszonym nosem wychodzi na planty. Przez resztę dnia jeszcze skrobie i poprawia coś w indeksie, a nazajutrz już o siódmej rano śpieszy do ogonka. Jest jeden z pierwszych; wreszcie zapisał się i dumnie spogląda wokoło. Trochę go tylko niepokoi, że zabrano mu wszystkie dokumenty, ale gdy za parę dni złoży opłatę w kwesturze, zwrócą mu je opatrzone pieczęciami i podpisami. Tego samego dnia fuks zrobi z dowodu osobistego najlepszy użytek, bo pójdzie do kina za połowę ceny. A z jaką dumą huknie przy okienku kasjerce: „Proszę o zniżkę akademicką!“. — Następuje etap trzeci: — szukanie mieszkania. Jeśli fuks przyjechał do Krakowa sam, to oglądając pokoje udaje doświadczonego i z mądrą miną pyta, czy niema pluskiew, a u służącej informuje się, czy pani nie jest jędza. Inaczej rzecz wygląda, jeśli fuks, czy fuksica szuka mieszkania pod opieką mamy. Wówczas całą troskę składa się na barki rodzicielki, która mobilizuje całe swe doświadczenie, spryt i inteligencję. Mamcia chciałaby oczywiście dziecku „przychylić nieba“. Niebo składa się z nieprzechodniego pokoju z osobnem wejściem, ciepłego i zaopatrzonego we wszystkie potrzebne sprzęty, z pięciokrotnego, obfitego pożywienia, łazienki, telefonu i nie może łącznie kosztować więcej, jak 99 złotych. Jeżeli właścicielka mieszkania nie chce przychylać nieba za tak ściśle określoną sumę, wówczas mówi się delikatnie: „w takim razie przyjdziemy jutro“ i już się oczywiście nie przychodzi. Jeżeli zaś układy udaje się doprowadzić do końca, mama zaznacza, iż życzy sobie, aby córka mieszkała „w porządnym domu“ i była pod dobrą opieką.

W tych dniach nastąpiło otwarcie roku szkolnego w wyższych uczelniach. Mamy ich ogółem w Polsce 22. Pierwsze miejsce wśród nich zajmuje Uniwersytet Jagielloński w Krakowie (na zdjęciu).

Fuksy czytają pilnie ogłoszenie rektora o inauguracji. Z podziwem fuksy patrzą na majestatyczny orszak profesorów, kroczących w togach do kościoła. Z tajoną zazdrością spoglądają na uroczystą pstrokaciznę i długie szpady korporantów. — A potem z niecierpliwością oczekują rozpoczęcia wykładów. W pierwszym tygodniu fuks nie opuszcza oczywiście żadnego wykładu; notuje starannie i w domu przepisuje na czysto. Kupuje książki i wypożycza skrypta, uczy się całemi dniami, dopóki nie skusi go jakaś „herbatka zapoznawcza“. Po pierwszej herbatce miewa już randki, poznał już jakąś „dziewczynę z polskiego“, z chemiczką umówił się do kina. Chodzi już teraz poprostu „na uniwerek“, a nie „do Uniwersytetu“, profesorów nazywa skrótami, umie swą aksamitną czapką wyczyścić buty. Już kupił grubą laskę i na jednem z zebrań zrobił z niej użytek. Gdy po pierwszym semestrze zjedzie na święta do rodziny, nie będzie już fuksem; będzie akademicką powagą i z dumą powie, że zdał dwa niesłychanie trudne kollokwia.

IZA NOWIŃSKA.



Prawie równocześnie z otwarciem roku szkolnego został odznaczony znakomity znawca antyku, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli polskiej nauki, prof. dr. Tadeusz Zieliński (na zdjęciu) z Warszawy, medalem Hindenburga, wybitym ku czci Goethego. Medal ten otrzymało tylko 20 osób na całym świecie.

Z WARSZAWY, POZNANIA, KRAKOWA I WILNA.



UDAŁY WYSTĘP NA SCENIE TEATRU KRAKOWSKIEGO. Teatr krakowski wystąpił z premjerą sztuki p. Marji Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej p. t. „Egipska pszenica", która spotkała się z gorącem przyjęciem zarówno publiczności, jak i krytyki. Jasnorzewska, której poezje odznaczały się wysoką nową sztuką, stanęła w pierwszym szeregu polskich autorek.

Przypuszczać należy, że „Egipska pszenica" utoruje sobie także drogę na sceny zagraniczne, porusza bowiem problemy żywe i aktualne, podane w sposób zajmujący. P. Jasnorzewska jest bystrą obserwatorką, która umie podpatrywać życie.



TARGI OGRODNICZE W POZNANIU. Dnia 8 b. m. otwarto na terenach Targów poznańskich wystawę ogrodniczą, w rekordowy sposób obesłaną przez licznych wystawców, którzy zaprezentowali szereg nowości. Zdjęcie przedstawia moment otwarcia targów w obecności naczelnika p. Hempowicza i radcy Zaleskiego.

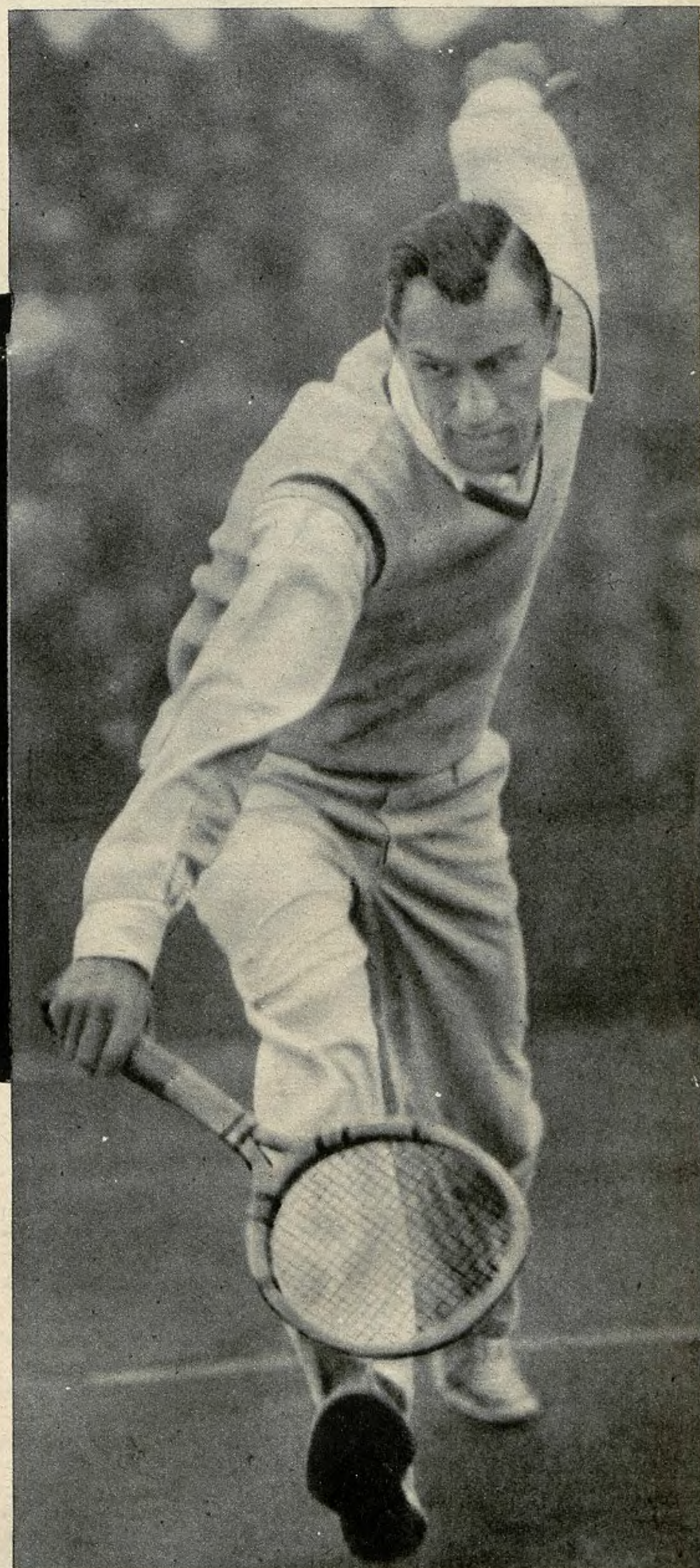


ZGON ZASŁUŻONEGO PEDAGOGA. Dnia 9 października br. zmarł w Krakowie nestor polskich pedagogów, długoletni dyrektor gimnazjum im. Nowodworskiego i docent Uniw. Jagiellońskiego, ś. p. dr. Leon Kulczyński (na zdjęciu). Urodził się on w 1847 roku w Krakowie, dyrektorem gimnazjum św. Anny został w 1888 r. Śmierć jego wywołała żywe współczucie wśród licznego grona jego uczniów, u których pozostawił pamięć człowieka o kryształowym charakterze i świetnego pedagoga. Cechowała Go przedewszystkiem niezwykła dobroć i łagodność, dzięki której zdobywał serca młodzieży i umiał ją prowadzić do wyższych ideałów.

Cześć Jego pamięci!



WILNO SWOJEMU BUDZICIELOWI. W ub. niedzielę odsłonięto we Wilnie pomnik wielkiego filantropa i działacza społecznego Józefa Montwiłła (na zdjęciu). Odegrał on wybitną rolę w życiu Wilna w dobie przedwojennej.



„CYRK" TILDENA W POLSCE. Do większych miast polskich przybył na gościnne występy b. mistrz Tilden (na zdjęciu), aby zaprezentować klasyczną grę tenisa. Jako partnerzy jego, wystąpili zawodowcy: Najuch, Nuesslein i Barnes. Zmierzył się z nim także Tłoczyński i nawet wygrał jednego seta w stosunku 6:1.

ŚWIĘTO MIŁOŚCI I WINA.



Wedle odwiecznego zwyczaju gniecie się pierwsze winogrona nogami. Przeważnie są to nogi pięknej i młodej dziewczyny. *The New York Times.*

(Oryginalna korespondencja „Światowida").

Marino, 2 października.

Aczkolwiek rozkaz Mussoliniego wprowadził „święto winobrania" do wszystkich miast i wsi półwyspu apenińskiego — to jednak starej tradycji staje się zadość i po urzędowem winobraniu urządza się winobrania tradycyjne w tych wioskach i miasteczkach, które od wieków trudnią się kultywacją winnego krzewu.

Do takich właśnie należy małe górskie miasteczko Marino, położone nad stokami jeziora albańskiego, w odległości 30 km. do Wiecznego Miasta.

Góry albańskie, naturalne kulisy Romy od strony południowej — to stare kratery, dziś zalane wodą, a na ich stokach rozrzucone są takie miasta, jak: Frascati, Grottaferrata, Marino, Castel Gandolfo, Albano, Ariccia, Genzano i Nemi. Są to miasta, których głównym przemysłem jest wino, a Marino jest właśnie stolicą tego wina, gdyż kultuwuje najlepszego gatunku wina nietylko w górach albańskich, ale w Italji wogóle. Nie Chianti, ani Albana, ani też Lacrima Christi i Lambrusco. nie Orvietto, ani też Capri przodują w winach włoskich, ale wina z Marino.

Dlatego też miasteczko to zostało wybrane przez Rzym na miejsce tradycyjnego winobrania, które stale się odbywa w pierwszą niedzielę października każdego roku. Od lat 10 uroczystości te ujął w swoje ręce faszyzm.

Na dzień ten rząd wypuszcza specjalne tramwaje i autobusy, aby dziesiątki tysięcy Rzymian przewieźć w góry albańskie, a ponadto długi sznur luksusowych limuzyn płynie wartkim potokiem po wyasfaltowanej autostradzie, która przez Albano, czy też Grottaferrata prowadzi do Marino.

I w tym czasie, kiedy dzieciarnia i ludzie chorzy w Polsce wzdychają do winogron — w Marino winogronami udekorowane jest całe miasto od stóp do głowy: balkony, okna, drzwi, okapy domów, szyldy sklepowe i okna wystawowe, pomniki publiczne, mur kościelny, ogrody, ogródki, fontanny i t. d.

Ażeby ludziska nie mówili, że im jeszcze mało — to przez główną ulicę t. j. corso Vittorio Emanuele, co 10 metrów przewiesili całą ulicę girlandami, zrobionemi z winogron, oczywiście w poprzek ulicy. Takich girland naliczyłem 15, a ulica ma szerokości około 10 metrów.

Na wszystkich placach, a jest ich kilka, widzimy fontanny, także ubrane kwiatami i winogronami, a orkiestry grają bez ustanku wesołe „kawałki" neapolitańskie, zachęcając ludzi do miłowania wina we wszelkiej postaci. Nic też dziwnego, że przed trattorjami i restauracjami długie stoły uginają się od dzbanów z winem, a błędne oczy półpijanych nektarem bogów sprawiają wcale niecodzienny widok.

Aby zmagnetyzować, zasugerować widzów „komitet święta" przygotował w tym roku cały szereg wspaniałych występów z winem: od strony Albano wjechał do miasta duży okręt. Oczywiście maskowany na ciężarówce, ale pełen winogron i beczek z winem; z drugiej strony mały pociąg także z winogronami i winem, gdzieś na ulicy olbrzymia beczka, w której urządzono variete z dziewczynkami i Bacchusem.

Uroczystość ta rozpoczęła się o godzinie 10-tej rano przed katedrą, skąd ruszył duży orszak z orkiestrami na czele, a miejscowy biskup błogosławił i święcił winogrona, wino, pojazdy, pracowników i pracownice z winnic. Pięknie przedstawiał się sycylijski wózek bogato udekorowany, zaprzężony w jednego konika, z dziewczętami w narodowych strojach. Także malowniczo wyglądał taki codzienny „woziwino" do miasta; grupa dziewcząt w strojach z Kampanji, rozdająca winogrona robiła fascynujące wrażenie.

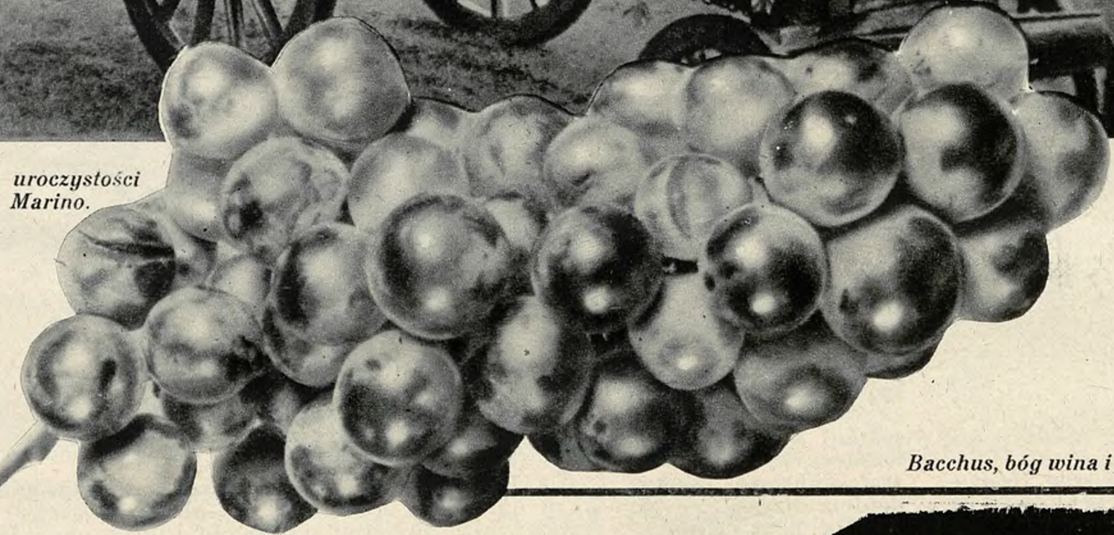
Przeszło godzinę czasu maszerował ten orszak „święcony", a później defilowały orkiestry: straży ogniowej, mandolinistów, milicji faszystowskiej, wojskowa, Balilla i t. d.



Bacchus w towarzystwie swojego dworu, jadący w wozie podczas święta winobrania.
Wide World Photos, Paris.



Fragment z uroczystości winobrania w Marino.



Grono winne.

O godzinie trzeciej t. j. po obiedzie, na dany sygnał, opuszczono girlandy winogronowe na corso Vittorio Emanuele i tłumy rzuciły się na darmowe winogrona. Kto był pierwszy — ten zyskał. Kto był silniejszy — mógł coś „złapać". Słabszego zdeptano razem z winogronami. Skutek był taki, że cała ulica była mokra od zmiażdżonego owocu. Robiło to ogromnie przykry widok. Zdawało się, że ludzie ci nigdy nie jedli winogron, albo byli bardzo głodni.

W godzinę później z okien i balkonów rozrzucano kilka tysięcy papierowych szklaneczek, a gdy wystrzał armatni odbił się głuchym echem po murach starego miasta Marka Antonia Colonna, bohatera wojsk zjednoczonych z pod Lepanto wszystkie fontanny Marino trysły pod niebo i na wszystkie strony świata morzem wina.

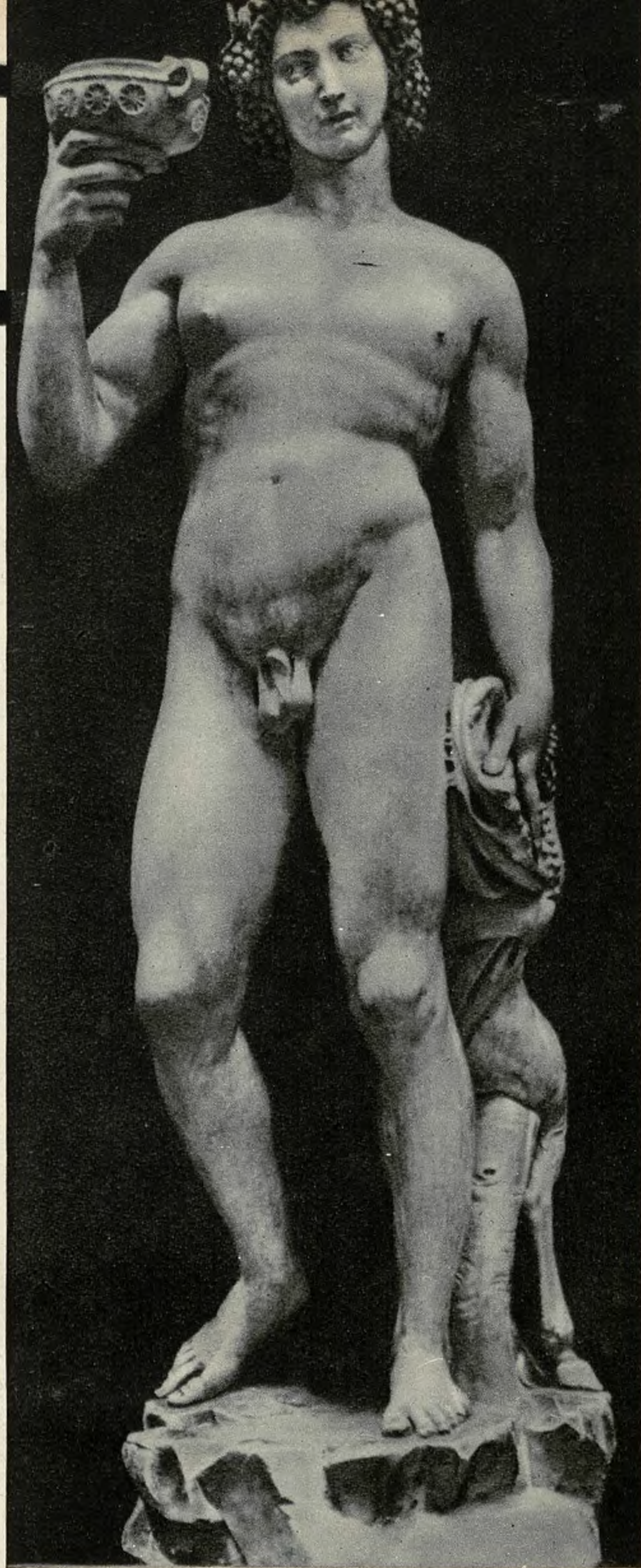
I znowu rzucili się „głodni" wina, którego dla wszystkich było poddostatkiem. Lał się ten nektar boski tak przez kilka godzin, aż zaczęło się ludziom kurzyć z czupryn.

Orkiestry grały bez ustanku, Bacchus śmiał się na całe gardło, a ludziska pili, pili bez ustanku.

Słońce schowało się w czerwonej obręczy w spienionych falach morza Tyrreńskiego, Twardowski na sierpie wygramolił się na sam środek nieba i pijanemi oczyma patrzył w lustro wielkiego jeziora, a na ulicach Marino jeszcze szalał Bacchus. Urządzano mu pochód folklorystyczny, a więc dziewczyny i chłopcy w strojach poszczególnych prowincji, wozy naładowane beczkami z winem, corso kwiatowe, tańce narodowe, popisy i t. d.

Zapomnieli ludzie o kryzysie, zapomnieli o kłopotach dnia codziennego, zachłyśnięci nektarem Olimpu płynęli skąpani w winie, a Bacchus radował się i cieszył, patrząc na tę zabawę...

Gustaw Lawina (Rzym).



Bacchus, bóg wina i miłości, rzeźba Michała Anioła w Muzeum Nazzionale we Florencji.

REPORTAŻ ZE ŚWIATA.



NOWY PREMJER WĘGIERSKI. Został nim minister Honwedów Gömbösz (na zdjęciu). Głównemi punktami jego programu są: obniżenie stopy procentowej, pozyskanie rynków zagranicznych, stałość waluty i reforma administracji. Charakterystycznem jest, że w gabinecie Gömbösza nie zasiada ani jeden arystokrata.

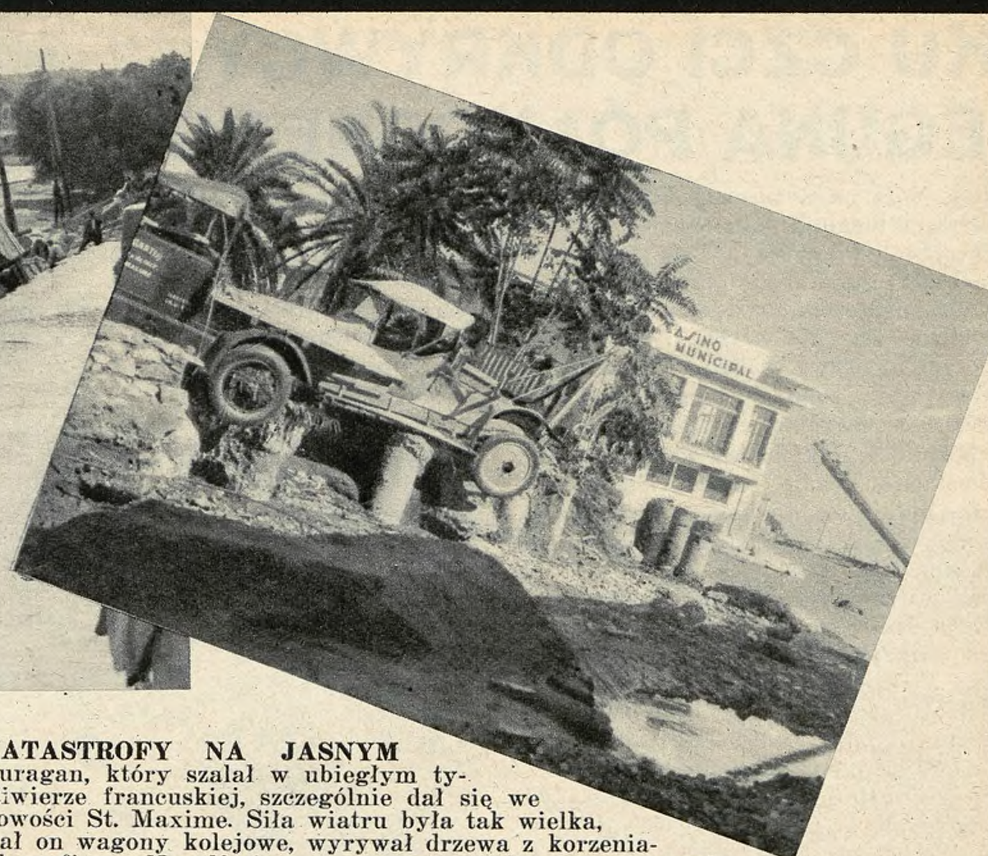


85-LETNIE URODZINY PREZ. HINDENBURGA. Obchodzono je w Niemczech bardzo uroczyście — prez. Hindenburg cieszy się tam bowiem wielką popularnością. Prez. Hindenburg urodził się dnia 3. X. 1847 r. w Poznaniu, jako syn oficera. Wcześnie poświęcił się karjerze wojskowej, brał udział w wojnie niemiecko- austrjackiej w 1866 r. i w kampanji w 1871 r. W 1911 r. jako generał przeszedł w stan nieczynny. W 1914 r. powołany ponownie do służby rozgromił armję gen. Rennenkampfa w Prusach Wschodnich. W 1916 r. objął naczelne dowództwo armji niemieckiej. Po przewrocie w 1918 r. usunął się w zacisze domowe. W 1925 r. został wybrany prezydentem Rzeszy. — Na zdjęciu prez. Hindenburg witany owacyjnie w rocznicę swoich urodzin w Berlinie.



NA POWITANIE PREMJERA KATALOŃSGIEGO. Z okazji ogłoszenia autonomji Katalonji, odwiedził Azana wsie katalońskie, gdzie był serdecznie witany przez ludność, która z najbardziej niedostępnych gór zbiegła się, ażeby pozdrowić swojego premjera. Na zdjęciu pasterze katalońscy, idący na powitanie premjera Azany.





ECHA KATASTROFY NA JASNYM BRZEGU. Huragan, który szalał w ubiegłym tygodniu na Riwierze francuskiej, szczególnie dał się we znaki miejscowości St. Maxime. Siła wiatru była tak wielka, że powywracał on wagony kolejowe, wyrywał drzewa z korzeniami i słupy telegraficzne. Na zdjęciu auto, rzucone siłą huraganu na molo, i wagony, powywracane nad brzegiem morza.



AL CAPONE ZNOWU PRZED SĄDEM. Słynny szmugler amerykański Al Capone, który obecnie odsiaduje karę długoletniego więzienia za swoje sprawki, stawał w tych dniach znowu przed sądem, za najrozmaitsze przestępstwa, za które nie był jeszcze sądzony. Słynnego bandytę przewożono z więzienia skutego (na zdjęciu) z zachowaniem wszelkich ostrożności.



OBRAZ GROZY I ZNISZCZENIA. Wielkie trzęsienie ziemi, jakie nawiedziło Grecję, a specjalnie półwysep Chalcedoński pochłonęło, jak dotąd, 232 trupów. Całe wsie i miasteczka są zrównane z ziemią (na zdjęciu). Ogólne szkody są oszacowane na 200 miljonów drachm.

Feljeton tygodniowy.

NASZE BUKI, DĘBY i ŚWIERKI...

Lasy dzisiejszej i dawnej Rzeczypospolitej Polskiej — to temat tak bardzo ciekawy, a tak mało znany. Znawca materjałów źródłowych i badacz historyczny, jakim był Tadeusz Korzon, w swych „Wewnętrznych Dziejach Polski za Stan. Augusta“, wydanych w 1885 r. w Krakowie, podając szczegółowe obliczenia obszaru uprawnych pól, pomija milczeniem jednak obszary leśne.

Pierwsze daty statystyczne o zalesieniu Polski znajdujemy w dziele T. Czackiego „Statystyka Polski“. Podaje on obszar lasów Polski z przed roku 1772 na 16/51 ogólnych pow. Polski, która wedle mapy Folieni'ego wynosić miała 21.334 mil kwadratowych. St. Staszic w swej „Statystyce“ z roku 1807 podaje cyfrę 52/120, ta zaś poprawiona przez Dembowskiego na 62/120 stanowiła wówczas 51,66% ogólnej powierzchni kraju.

Lesistość Polski więc wedle Czackiego wynosiła 31%, wedle Staszica zaś 43%. Przyjąwszy średnią lesistość Polski przedrozbiorowej na na 37%, dochodzimy do wniosku, że na dzisiejszym obszarze Polski Odrodzonej było za czasów Rzeczypospolitej przedrozbiorowej conajmniej 14,5 miljonów ha lasów.

W Polsce dzisiejszej posiadamy, ogólnie biorąc, 9 miljonów hektarów lasów. W stosunku więc do powierzchni kraju mamy 23% lesistości. Ubytek lasów więc znaczny; w ciągu 150 lat straciliśmy około 5,5 miljonów hektarów lasów, czyli po 36 tysięcy hektarów rocznie.

W wspaniałem dziele Miklaszewskiego „Lasy i leśnictwo polskie“, znajdujemy zestawienia statystyczne lesistości poszczególnych państw powojennej Europy. Na czele wśród państw leśnych stoi Rosja sowiecka, dalej Finlandja, Szwecja, Niemcy, Francja, Polska, Jugosławja, Rumunja, Norwegja itd. Polska zajmuje więc zkolei 6-te miejsce w Europie. Największy procent zalesienia kraju posiada Finlandja (65,2%), następnie Szwecja (52,4%), Rosja sowiecka (46,6%), Austrja (37%), Czechosłowacja (33%), Luksemburg (32%), Jugosławja (30%), Bułgarja i Łotwa (28%), Niemcy (26,6%), Rumunja (24,6%), Szwajcarja (23,6%), Polska (23%), Norwegja (22%), Portugalja (21%), Francja (19%), Włochy (17,9%), Litwa (17%) itd. Najuboższe w lasy są Danja (8%), Holandja (7,2%) i Wielka Brytanja (5,3%).

Bardzo ważną jest cyfra wyrażająca powierzchnię lasu, przypadającą w poszczególnym kraju na jednego mieszkańca. Wedle kryterjum Dra Endersa, ilość lasu, niezbędna do pokrycia własnych potrzeb ludności w państwach stojących na wyższym stopniu kultury, oraz mających rozwinięty przemysł, wynosić ma 0,31 ha na jednego mieszkańca. W Europie największy obszar leśny na jednego mieszkańca przypada w Finlandji (7,23 ha), w Szwecji (3,89 ha), w Norwegji (2,58 ha), w Rosji (1,94 ha). Twierdzić więc można, że kraje te muszą być obecnie i długo jeszcze będą najpoważniejszymi eksporterami drewna na rynki światowe. Najmniejsze obszary lasów posiadają: Grecja (0,23 ha), Hiszpanja (0,22 ha), Niemcy (0,20 ha), Włochy (0,14 ha), Belgja (0,07 ha), Holandja (0,037 ha). Polska zajmuje 14-te miejsce wśród państw europejskich, posiadając 0,31 ha lasu, przypadające na jednego mieszkańca. Zbliżoną jest więc do państw, które zdaniem prof. Endersa nie dają gospodarstwu społecznemu nadwyżek eksportowych drewna. Nie może być przeto Polska uważaną za kraj o niezmiernych bogactwach leśnych, oraz olbrzymich możliwościach eksportowych drewna. Z chwilą rozwinięcia naszego przetwórczego przemysłu, oraz wzrostu zaludnienia, zmuszoną byłaby do importowania drewna.



Rezerwat leśny w Tatrach. Fragment z drogi Zakopane-Morskie Oko.

Dziś bezsprzecznie mamy nadwyżki eksportowe, dzięki niskiemu uprzemysłowieniu kraju i nadmiernemu użytkowaniu lasów ponad potrzeby rynku wewnętrznego, te jednak są okupione ofiarami w naszych leśnych zapasach.

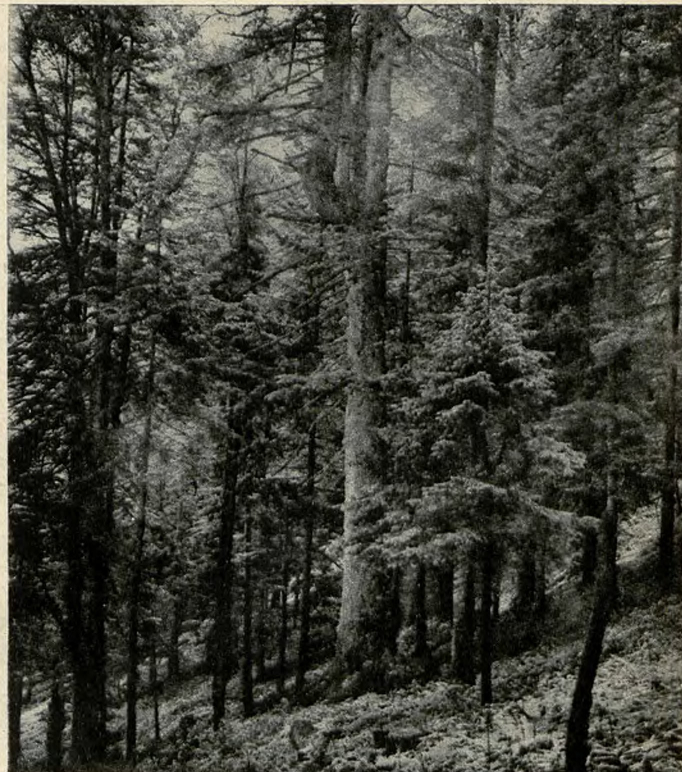
Z 9 miljonów hektarów lasów dzisiejszej Polski, 3 miljony ha przypada na lasy państwowe, 6 milj. ha zaś na lasy prywatne. Zalesienie poszczególnych województw przedstawia się następująco. Najsilniej zalesionem jest województwo stanisławowskie (35%), podobnie śląskie (34%), następnie poleskie (31%), wołyńskie (26%), lwowskie (25%), krakowskie (23%), najmniej natomiast woj. warszawskie (12%).

Z rodzajów i gatunków drzewnych występują w Polsce, dzięki jej położeniu geograficznemu, elementy pospolite w całej Europie środkowej. W stosunku do ogólnej powierzchni lasów polskich, udział poszczególnych rodzajów drzew przedstawia się następująco: Sosna 66%, jesion, buk, brzoza, grab, modrzew 8 proc. Najbardziej rozpowszechnionym więc rodzajem drzewa w lasach naszych jest sosna, występująca przeważnie w niżowej części Polski i niżej położonych częściach Wyżyny Małopolskiej i Roztocza, tworząca czyste lub mięszane drzewostany przeważnie na siedlisku dyluwjalnych piasków. Pomimo, iż właściwem siedliskiem sosny są okolice piaszczyste niżu polskiego, tworzy ona jednak często na Podkarpaciu, niskich stokach Karpat czyste drzewostany, bądź też domieszkę w drzewostanach jodłowo-świerkowo-bukowych. Drugim rodzajem, ze względu na obfitość występowania, jest świerk, mający u nas dwa ośrodki: północny, obejmujący Pojezierze Mazowieckie, wileńskie, półn. część krainy poleskiej, oraz ośrodek południowy: Tatry, Babia Góra, Pilsko, Korce, pasmo Radziejowej w Karpatach sądeckich, oraz Karpaty wschodnie. Brakiem świerka natomiast charakteryzują się: Pomorze, część województwa poznańskiego, pas wielkich dolin środkowej Polski, Podole, Pokucie, Wołyń i południ. Polesie.

Z innych iglastych, również gromadnie występujących, jest jodła pospolita, tworząca czyste, bądź mieszane drzewostany z bukiem, świerkiem, dębem, a nawet i sosną. Pospolita w lasach karpackich, po północnej stronie Tatr, w kotlinie sandomierskiej, w górach kielecko-sandomierskich, oraz części wyżyny lubelskiej, schodząc na niż. Z iglastych rodzajów wspomnieć jeszcze należy o modrzewiu europejskim i modrzewiu polskim, występujących w naszych lasach.

Żyzne gleby Podola zajmuje dąb, tworzący czyste i mieszane drzewostany z grabem, jesionem, wiązem, jaworem, lipą i brzozą. Zwartą gromadą zaś głównie na Podkarpaciu, Opolu, Wyżyny Małopolskiej, Roztoczu, na żyznych glebach zachodniej części Pojezierza pomorskiego występuje buk. Prócz wymienionych rodzajów drzew, czyste lub mieszane drzewostany tworzy: grab, brzoza, osika, olcha, lipa. Domieszkę zaś w drzewostanach tworzą klony, topole, wierzby i jarzębiny.

(Włodkaw.)



Lasy jodłowe w Ujsołach (powiat żywiecki). Fotografował inż. Fucik. (Ze zbiorów Państwowej przyrody).

KU CZCI ODKRYWCY BIEGUNA PÓŁNOCNEGO.

W Cape York na Grenlandji odsłonięto obelisk ku czci Roberta Peary'ego, odkrywcy bieguna północnego. Peary urodził się w 1856 r. i był z zawodu inżynierem. Pierwszą podróż arktyczną odbył w 1887 r. do Grenlandji. W latach 1891—1892 zbadał południowe i południowo-zachodnie wybrzeże Grenlandji, przyczem stwierdził jej wyspowy charakter. W 1894 r. odkrył Independence Bay, zaś w 1900 r. stwierdził łączność ziem Ellesmere i Grinnel. Podczas wyprawy w 1906—907 r. dotarł do 86° 7-ej szerokości półn. Cel swego życia: zdobycie bieguna północnego, osiągnął dopiero 6 kwietnia 1909 r. w dziesiątej swojej wyprawie.

Gdy później wyniki badań Peary'ego poddano ściślejszej ocenie, okazało się, że właściwie nie był on na biegunie geograficznym ziemi, ale w punkcie odległym od niego o 25—30 km.

Podróż swoją odbył w towarzystwie kapitana Boba Bartletta, przebywając drogę bądź na sankach zaprzężonych w psy, bądź też pieszo.

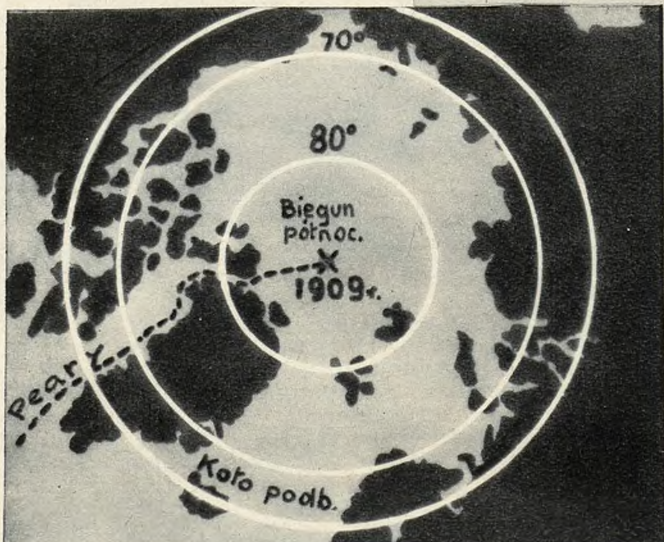
Prawie równocześnie usiłował dostać się do bieguna niejaki Cook, którego jednak zdemaskowano, jako oszusta.

Peary jest ostatnim z wielkich romantyków polarnych, którzy nadludzkiemi trudami opływali każdy krok zbliżający ich do bieguna. W szeregu ich widnieje Payer, odkrywca Ziemi Franciszka Józefa, Nansen, Amundsen, książę Abruzów i t. d.

Pierwszym, który przeleciał w aeroplanie nad biegunem północnym, był admirał Byrd. Jest on jedynym z żyjących, który może pochlubić się, że widział oba bieguny.

Pierwotnie przypuszczano, że na biegunie północnym jest ląd. Obecnie jednak jest stwierdzonem, że jest tam morze, pokryte krą.

Towarzysz Peary'ego kapitan Bob Bartlett jeszcze żyje. Uczestniczył on też w uroczystościach w Cape York, wraz z córką Peary'ego Marją, fundatorką obelisku. — Szczególnie licznie pod tym pomnikiem zebrali się Eskimosi, wśród których pamięć wielkiego podróżnika i odkrywcy bieguna, zmarłego w r. 1920, dotąd żyje.



Droga R. Peary'ego, prowadząca wzdłuż wybrzeży Grenlandji do Bieguna Północnego.



Obelisk ku czci Peary'ego.

Marja, córka odkrywcy Bieguna północnego Roberta Peary'ego, w towarzystwie Eskimosów pod pomnikiem ku czci swojego ojca, wzniesionym jej kosztem, w Cape York na Grenlandji.
The New York Times.

AUTOSTRADA NA SZCZYT ETNY.



Ogólny widok Etny, wulkanu na Sycylji, na którego szczyt prowadzi obecnie autostrada.

Z końcem października, w dziesiątą rocznicę marszu Mussoliniego na Rzym, zostanie oddana do użytku publicznego autostrada, prowadząca na szczyt Etny. Długość jej wynosi 20 km, z czego jak dotąd została ukończona połowa.

Nowa autostrada zaczyna się w Nicolosi pod Katanią i prowadzi przez Monte Rossi, i wybrzuszenia, które utworzyły się w czasie straszliwego wybuchu Etny w, 1669 r., kiedy prawie cała Katania została zniszczona. Następnie droga przecina pola lawy, które pozostały po wybuchach w 1886 r. i w 1910 r. Na tym odcinku budowa drogi nastręczała wielkie trudności, gdyż trzeba było pokonywać najrozmaitsze przeszkody terenowe. Minąwszy obszary pustynne, pokryte lawą, wkracza droga w krainę winnic i sadów owocowych, a przedewszystkiem pomarańcz. Stąd bowiem pochodzą słynne katańskie pomarańcze, które uchodzą za najlepsze na świecie. Na wysokości 1.882 m, droga urywa się ,przy t. zw. Cantoneria meteorica. Roztacza się stąd wspaniały widok na całą okolicę i na morze. Jak dotąd budowa drogi kosztowała trzy miljony lirów. Definitywnie zostanie ona ukończona dnia 28 października 1933 r., dochodząc na sam szczyt Etny. Tak więc Włosi, którzy rozporządzają jedną z najwspanialszych sieci drogowych w Europie, doczekali się jeszcze jednej autostrady, z której mogą być dumni.

A my?

ZA TYCH DAWNYCH, DOBRYCH CZASÓW.

Jakże często słyszy się szczególnie dziś, pochwały pod adresem dawnych, dobrych czasów. Pochwały te wygłaszają ludzie, którzy widocznie nie orjentują się w historji, i nie mają wyobrażenia o tem, co się działo przed wiekami i jak żyli nasi przodkowie.

A więc za tych dawnych, dobrych czasów nawet królowie kapali poprostu od brudu. Nawet Ludwik XIV-ty, zwany królem-słońcem jadał jeszcze palcami, ponieważ widelca wtedy nie znano. Ten sam król czuchrał się ustawicznie, ponieważ gryzły go niemiłosiernie wszy. Do zabijania tych dokuczliwych owadów, miał on złoty młotek, którym podobno doskonale umiał się posługiwać. Kochanki wielkiego króla były także brudne jak noc, gdyż bieliznę w tym czasie zmieniano rzadko.

Jeżeli tak żył król, to cóż dopiero mówić o jego poddanych. Rzadko który z nich dochodził do czterdziestki, gdyż w tak niehigjenicznych warunkach wszelkie epidemje miały podatny grunt do rozwoju. Czytając dawne kroniki uderza nas, że nawet stosunkowo młodzi ludzie mieli po trzy lub cztery żony. Działo się to dlatego, ponieważ w dawnych wiekach poród — zwłaszcza pierwszy, prawie zawsze kończył się śmiercią, wskutek zakażenia.



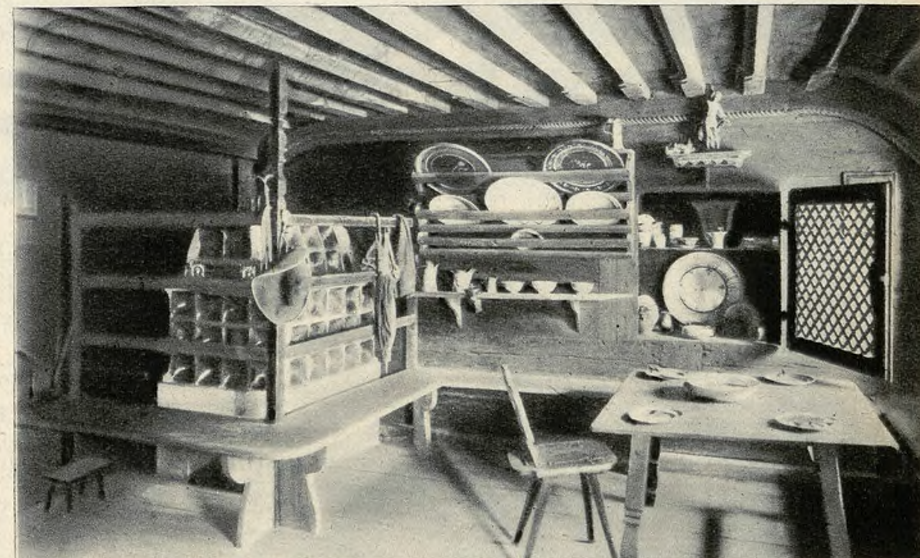
Król francuski Ludwik XIV., zwany „Król-Słońce" (1643-1715).

Także w tych dawnych, dobrych czasach, świat i jego rozkosze były udziałem tylko nielicznej garstki wybranych. Reszta zaś ludzi żyła albo w niewolnictwie, albo też w najgorszem poniżeniu.

Przestrzenie, które my dzisiaj aeroplanami, lub autami przebywamy w kilku godzinach, wydawały się za dawnych, dobrych czasów wprost nieprzebytemi. No, ale wtedy podróżowało się końmi po przepaścistych wybojach i wśród dziewiczych lasów, pełnych dzikiego zwierza i rozbójników. Przeprawa przez każdą rzekę zabierała kilka godzin czasu, w czasie zaś letnich i jesiennych roztopów, trzeba było tygodniami czekać, aż drogi wyschną.

Nie było także tanio w tych dawnych czasach. Czyta się wprawdzie w starych kronikach, że za wołu, czy cielę płaciło się kilka groszy, ale też grosze te miały zupełnie inną siłę kupna, ponadto zaś niektóre artykuły, które my kupujemy za grosze (np. bielizna, pończochy, szkło, porcelana, pieprz itd.) płaciło się wprost fantastyczne sumy.

Zatem nie wzdychajmy do tego, co przeszło i minęło, ale cieszmy się rzeczywistością i tem, co jest. Nie ulega zaś żadnej wątpliwości, iż za kilkaset lat w dziennikach będzie się czytało zjadliwe satyry na rok 1932. W artykułach tych, kronikarze śmiać się będą, że jeszcze Franciszek Józef chodził w mundurze zapiętym pod szyję, nosił wysokie obcasy, palił szkodliwe cygara i nie uznawał ani plaży, ani kąpieli słonecznych, pomimo, że był cesarzem.



Wnętrze izby mieszczańskiej z XVI. wieku. Na stole widzimy tam talerze, ale bez noży i widelców. Przedmioty te były jednak niepotrzebne, ponieważ wówczas nawet na królewskich dworach jedzono rękami.

DŁUGOWIECZNI LUDZIE.

Nie ulega żadnej wątpliwości, że ludzie żyją coraz dłużej. Jeszcze w XVII-tym wieku przeciętny bieg ludzki wynosił 40 lat, dzisiaj zbliża się już do 60-tki. Dzieje się to dlatego, ponieważ medycynie udało się opanować najrozmaitsze choroby, które przedtem dziesiątkowały całe miasta i wsie, ponadto zaś ludzie nauczyli się żyć higjenicznie, dzięki czemu nawet w podeszłej starości zachowują świeżość zarówno fizyczną, jak i umysłową. Charakterystycznem jest, że ludy Północy żyją przeciętnie dłużej, aniżeli mieszkające w cieplym klimacie. Od czego zależy długowieczność, na to dzisiaj nauka definitywnie odpowiedzieć jeszcze nie może. W każdym nie ulega żadnej wątpliwości, że gra tu dużą rolę dziedziczność i dlatego z dużem prawdopodobieństwem przypuszcza się, że dzieci długowiecznych rodziców dożywają zazwyczaj późnego wieku.

Za najwyższą granicę wieku ludzkiego uchodzi popularnie setka. Bywali jednak i bywają ludzie, którzy dożywali i 150 lat. I tak w opactwie Westministerskim w Londynie znajduje się epitafjum, poświęcone pamięci niejakiego Tomasza Parza, który w 1635 r. umarł, licząc 152 lat i pamiętał panowanie 10-ciu królów angielskich. William Thompson zapewnia w swojej historji o dwóch wieśniakach z okolic Westminster, z których jeden żył 175 a drugi 135 lat. Rybak Henryk Jentrins z hrabstwa York, mając 170 lat zjawił się przed sądem ze swoimi dwoma synami, z których jeden miał 100, a drugi 102 lat.

W 1898 r. umarł w Anglji w 134-tym roku życia Robert Tylor. Był on kilkakrotnie żonaty a ostatni raz, jako „pan młody" szedł do ołtarza, mając 108 lat.

Proboszcz parafji Gouny w Ardenach, żył 125 lat i przez równe 100 lat był proboszczem tej parafji, od r. 1426—1526.

Matuzalemem dzisiejszych czasów był Turek, Zira Aga, który zginął w wypadku automobilowym, przed rokiem, licząc 152 lat. Pracował on ciężko na życie, jako tragarz okrętowy.

Wedle urzędowej statystyki w Polsce jest około 5.000 ludzi na 32 miljony ludności, którzy osiągnęli ponad 100 lat, zaś 7.2% ludności przekracza 60-ty rok życia.



Turek Zira Aga, który dożył 152 lat.



Przy ognisku.

Myśliwi posuwają się krok w krok, nie przepuszczając żadnego stada.

Według zwyczaju myśliwskiego zostaje pomazany młody myśliwy „farbą“ pierwszej w życiu ubitej zwierzyny.

MOJE PIERWSZE KROKI MYŚLIWSKIE.



„Trop“ aportuje.

Właśnie stukonnym „Buickiem“ zajechali panowie na polowanie. We dworze nie było pusto, bo mili gospodarze polowania już od wczesnych godzin krzątali się po starym domu, ażeby przyjąć gości. Z chyżością nietoperza zajeżdżamy przed ganek. Dworek mały, lecz zewsząd chędogi i łazienkę ma wielką i nawet telefon! Na progu widnieje wyryty rok 1813.

Od wieku ponoć nic się tu nie zmieniło, te same filary, portrety i meble. Służący w liberji z podniesioną głową odbiera od nas płaszsze i inne graty. Z dziecinną radością wymieniamy uściski dłoni i uśmiechy.

— Panowie, czas to kuropatwa! — zawołał gospodarz. — Jedziemy!

Myśliwi oddają strzelby i naboje umorusanym chłopcom z nagonki. Każdy z nich ma przypięty numer na ręce. Jak na dworcu kolejowym...

— „Bagażowy“ nr. 5! zabierzcie mi strzelbę — wołam.

Rekwizyt ten jest konieczny do specjalnych zdjęć fotograficznych z polowań. Fotomontaż nie jest wskazany.

— Jakto, pan nie będzie strzelał? — zapytuje mnie gospodarz.

— Strzelać? Wykluczone, zielonego pojęcia nie mam, jadę jako statysta, kibic.

Po dłuższej perswazji decyduję się. Otrzymuję ładunki, krótkie wskazówki, jak należy w „terenie“ zachować się, np. że nie należy strzelać do chłopców z nagonki, bab kopiących ziemniaki i indyków. Cenne wskazówki przechowuję w głowie, jak uwagi kolegów przy pierwszej ślizgawce. Godzina 9-ta rano wyjeżdżamy z „dworca myśliwskiego“ — brykami. Kasztanki, fiziljerzy i pies „Tropuś“. Po paru minutach znajdujemy się już w bazie operacyjnej, okupowanej przez dywizję kuropatw. Podbiega „Wojski“ w zielonym mundurze, naszywanemi złotemi guzikami. Wypręża się i melduje:

— Jaśnie panie, dwunastu ludzi nagonki, trzech polowych, słaby wiatr południowo-wschodni, pole widzenia do trzech kilometrów.

— Ile kur?

— Melduję posłusznie, jaśnie panie, ponad miljon!

Przysłuchuję się z boku temu raportowi. Zrozumiały jest dla mnie komunikat metereologiczny, kierunek wiatru, pole widzenia (ze względu na nośność pocisków), ale poco statystyka kur? Polować przecież mamy na kuropatwy, a nie na kury! Może w ostatniej chwili „sztab“ zmienił plany?... Zdenerwowanie u mnie wzrasta, pada komenda:

— Rozciągnąć się! Panie W. na lewe skrzydło!

Sekundy ciągną się jak guma, drżę, jak antena radjowa, trzymając kurczowo strzelbę.

— Lufę do góry! Może wypalić — uczą mnie.

Dla bezpieczeństwa „prezentuję broń“. Gospodarz podniósł swój róg mosiężny, „wzdął policzki jak banie“. — Zatrąbił. Zadrżało powietrze i moje serce.

— Naprzód, naprzód! wyprostuj linję, równaj!

Teraz dopiero uświadomiłem sobie grozę światowej wojny i dyscyplinę bojową. Pewnym krokiem św. Huberta idę po burakach i kartoflach. Nagle szum. Przed nami stado niewinnych ptasząt zrywa się. Pada jeden strzał, drugi, trzeci... Zmierzam się, pociągam za spust i... nie strzelam. Spytacie dlaczego? Naboje miałem jeszcze w lewej kieszeni. Widząc podbiegającego gajowego, błyskawicznie wyjmuję naboje. Robię skromną minę.

— Panie gajowy, nie wiem co się stało, strzelba moja zacina się?

Uważnie obserwuję każdy ruch instruktora. Nagle zauważyłem na łusce napis „Łoś“. Zdziwienie nie do opisania. Nie chcę się jednak zdradzić brakiem wiadomości, więc nie zadaję żadnych pytań, chociaż łosi nie zamierzam strzelać. Dwa zmechanizowane ruchy palców i naboje już siedzą w lufie. Serdecznie dziękuję za pomoc i dobiegam do linji. W tej chwili drugie stado zrywa się w odległości dwudziestu kroków. Prawo serji powtarza się.

— Dlaczego pan nie strzelał? Taka świetna pozycja?

— Nie chciałem rozbijać stada — poważnie i przekonywująco odpowiadam. — Nie ten był prawdziwy powód! Przyznaję się. Bezpiecznik, do stokroć beczek dynamitu!! był znowu spuszczony. Po nitce do bezpiecznika... Nie odrazu Kraków wybudował — „Feniksa“. Znając już tajniki tej piekielnej maszyny z dwiema rurami, przeskakuję fosę i pędzę przed siebie. Słyszę głos sąsiada:

— Panie kolego, trzeba strzelać wszystko, co jest w powietrzu.

— Czy aeroplan też? — dorzucam.

Po kilkunastu podejściach, podbiegach i pudłach — strzelam wreszcie. Pada pierwsza kura! „Podniecony zapachem krwi“, pędzę na oślep, krzycząc hurra! hurra! Jeszcze dwa złożenia się i... dwa pudła. Pierwsza część polowania skończona. Apetyt do dalszej walki ostygł momentalnie u wszystkich na widok przygotowanego śniadania. Najpewniejszy to miot! Pieczone ziemniaczki, stara śliwowiczka, a następnie obiad wymownie świadczą o „zawieszeniu broni“.

— Zaraz będzie chrzest fuksa! — odzywa się gospodarz.

Myśliwi, „bagażowi“ i gajowi otaczają mnie. Widzę, że jestem osaczony. Prawdziwy kocioł myśliwski. Bronię się, tłumaczę, że już strzelałem, że to nie pierwsza zdobycz... Perswazje nie pomogły. Nikt nie wierzył. Ostatecznie zostałem pomazany krwią pierwszej, własnoręcznie ubitej kuropatwy.

— Niech żyje pomazaniec! — woła mój bagażowy nr. 5.

Tradycji stało się zadość. Po obfitym obiedzie przystępujemy do dalszej ofensywy. Po chrzcie występuję już, jako subdjakon św. Huberta. Strzelam z „prawki“, z „lewki“, wiem, że zając nazywa się „kotem“, puszcza „farbę“, ma „słuchy“, „skoki“, itd. Ale a propos zająca. Wkraczamy w dżunglę białych buraków. Tyraljera rozciągnięta na 300 metrów. Szeregi nasze zostały wzmocnione jeszcze jednym myśliwym, aż z Sandomierszczyzny. Strzelam dublety, syngle, a rezultat — 10 dalszych kuropatw. Jeszcze ostatni nabój w prawce. Patrzę na lewo, na prawo, w tem zrywa się coś z pod nóg. Składam się i mierzę.

— To zając! — woła sąsiad.

— Poznaję, poznaję! Darowałem mu życie, dzięki amnestji do — 20 października.

Sygnał trąbki zakończył polowanie. Zachodzące słońce rzucało już resztki promieni na ciemno zoraną rolę, gdy karawana myśliwych zdążała do starego dworku. Znów świetna stara śliwowica przelewała się przez zaschnięte przełyki myśliwych...

Nie chcę blagować, jak starzy „koledzy“ po flincie, lecz przyznam się pod słowem. Wynik pierwszego polowania w sumie: 5 kur, 10 pudeł i setki spłoszonych kuropatw — uważam za sukces!!

A Wasilewski.

WSZYSTKIE ZDJĘCIA WYKONANE PRZEZ SPECJALNYCH WYSŁANNIKÓW „ŚWIATOWIDA“.

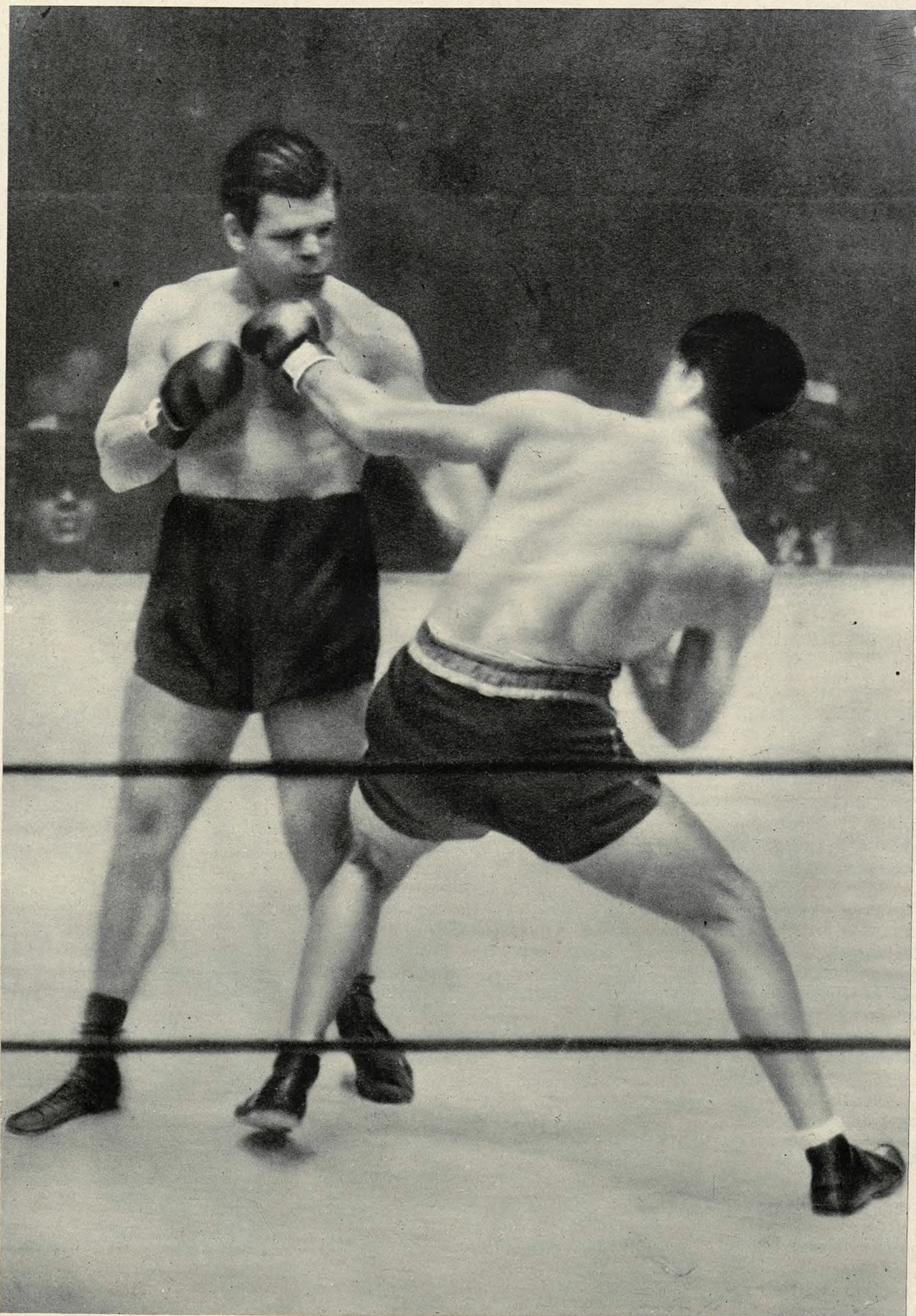


Myśliwy składa się do strzału.



Linja myśliwych.

SCHMELING I WALTER NA RINGU.



Schmelling atakujący Waltera na meczu w Nowym Jorku.

Scher., Berlin.

W ubiegłym tygodniu odbyło się w N. Jorku spotkanie pomiędzy b. mistrzem świata Schmelingiem a Amerykaninem Walterem. Zwyciężył po ośmiu rundach Schmeling. — Walka ta była przygrywką do decydującego spotkania o mistrzostwo świata, które odbędzie się dopiero na wiosnę.

Boks na gołe pięści był uprawiany aż do połowy XIX w. wyłącznie w Anglji. Jako 1-szy mistrz świata figuruje oficjalnie w 1719 roku niejaki Tom Figg. — Przepisy bokserskie zostały ujęte w regulamin dopiero przez Jacka Broughtona, mistrza w okresie 1734 do 1750 roku i weszły w życie jako „London Prize Ring Rules" dnia 17 sierpnia 1743 r.

W połowie XIX wieku boks aklimatyzuje się i w Ameryce, gdzie zostają wprowadzone pewne ulepszenia do jego zastarzałej techniki.

Pierwszy prawdziwy mecz o mistrzostwo świata miał miejsce 19 kwietnia 1860 r. pomiędzy Anglikiem Sayersem a Amerykaninem Johnem Carmelem Heananem.

Fenomenem w swoim rodzaju był John Sulliwan, którego debiut przypada na r. 1878. Przez dziesięć lat królował on na ringach i wycofał się dopiero po spotkaniu z Kilrainem w 1889 r.

Za Sulliwana zaczynają wchodzić w życie rękawice bokserskie.

Doskonałym taktykiem był Robert Fitzsimmons. Mając 18 lat, zdobył on mistrzostwo Australji, w roku zaś 1894 odniósł zwycięstwo nad olbrzymem Joe Choynsky. Kiedy Robert Fitzsimmons bronił swojego tytułu przed George Gardnerem, w pierwszej rundzie złamał sobie obie ręce. Pomimo nieludzkiego bólu, nie przestał zadawać ciosów i walczył aż do chwili, aż jego przeciwnik nie wiedząc o tem co zaszło, poddał się. Na „emeryturę" przeszedł w 1897 r., mając 35 lat.

Poczesne miejsce wśród mistrzów pięściarskich zajmuje Jim Jeffries. Był to atleta o wspaniałej wprost budowie i nadludzkiej sile. Na ringu wyglądał, jak posąg. W czasie spotkania z Bobem został formalnie zmasakrowany, w jedenastej jednak rundzie pokonał swego przeciwnika.

W 1908 r. mistrzostwo świata przeszło na murzyna Jacka Johnsona, ku rozpaczy Amerykanów, nienawidzących i pogardzających ludźmi czarnej rasy.

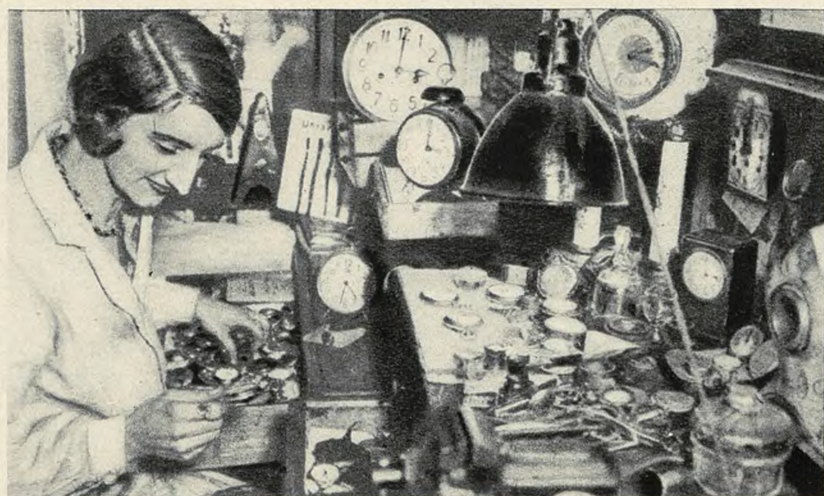
To też nazajutrz po jego zwycięstwie nad Jeffriesem, zlinczowano blisko 300 murzynów.

Następcą jego był Willard. Mistrzostwo jego przypada na czasy wojny, kiedy to w Europie myślano o wszystkiem, tylko nie o boksie. Zdetronizował Willarda dn. 4 lipca 1919 roku Jack Dempsey, zwany Tiger Jack. Doszedł on ze skrajnej nędzy do olbrzymiej fortuny i były czasy, kiedy płacił rocznie miljon złotych podatku dochodowego. Największym jego triumfem było pokonanie bożyszcza Europy, Francuza Carpentiera, na oczach 92.000 widzów dnia 2-go lipca 1921 r. W 1923 r. rozciągnął on bezapelacyjnie potwornie silnego Argentyńczyka Firpo.

Naprawdę godnego przeciwnika znalazł on dopiero w 1926 r. w osobie Tunney'a, kleryka, który studjował teologję, pragnąc zostać pastorem.

W ostatnich latach mistrzami świata byli kolejno: Schmeling i Sharkey. Ale żaden z nich nie zbliżył się nawet do tych wspaniałych pięściarzy, jakich w historji boksu reprezentują: Sulliwan, Bob, Jeffries i Dempsey.

I FORD NIE PŁACI DŁUGÓW.


U tej zegarmistrzyni w Monachjum Ford kupił kilka starych zegarków, i do tej chwili nie uregulował rachunku na mk. 4·20.

Mniejwięcej przed rokiem do tandetnego składu zegarków am Torbogen w Monachjum, wszedł jakiś starszy, chudy mężczyzna, ubrany niepozornie.

— Prosiłbym o stare zegarki — rzekł on do sprzedawczyni, z akcentem wybitnie cudzoziemskim.

— Pan chce używany zegarek, a mam tu kilka takich. O ten naprzykład, jest prawie że nowy i kosztuje wszystkiego 4 marki.

— Ja chciećjeszcze starsze, takie z kluczykami...

— A więc pan chce antyki, owszem, mamy i takie.

Nieznajomy pan przyglądał się uważnie oferowanym mu zegarkom, badając pilnie ich werki, poczem cztery zegarki schował do kieszeni.

— Pan zna się na zegarkach?

— Tak, ja byłem kiedyś zegarmistrzem.

— A teraz czem pan jest?

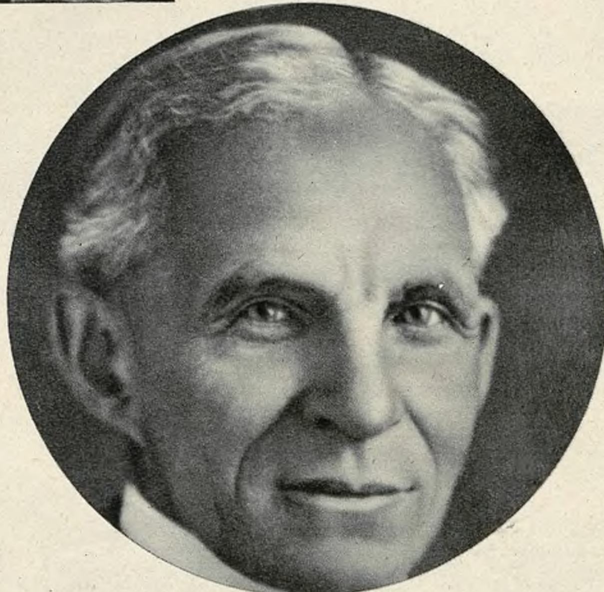
— A teraz jestem mechanikiem. Wiele się należy za te zegarki?

— Dwadzieścia marek, 50 fenigów.

— Możeby tak dla okrągłości 20 marek?

— No dobrze, ale za kluczyki osobno cztery marki 20 fenigów.

Nieznajomy jakby nie dosłyszał, zapłacił 20 marek i chciał wyjść. Ale przed sklepem stał olbrzymi tłum ludzi. Kilka osób weszło nawet do środka. I wówczas sprzedawczyni ku swojemu zdumieniu dowiedziała się, że człowiekiem, który kupował u niej stare zegarki, był sam Henryk Ford. Najbogatszy człowiek świata ukłonił się tymczasem i szybko oddalił.

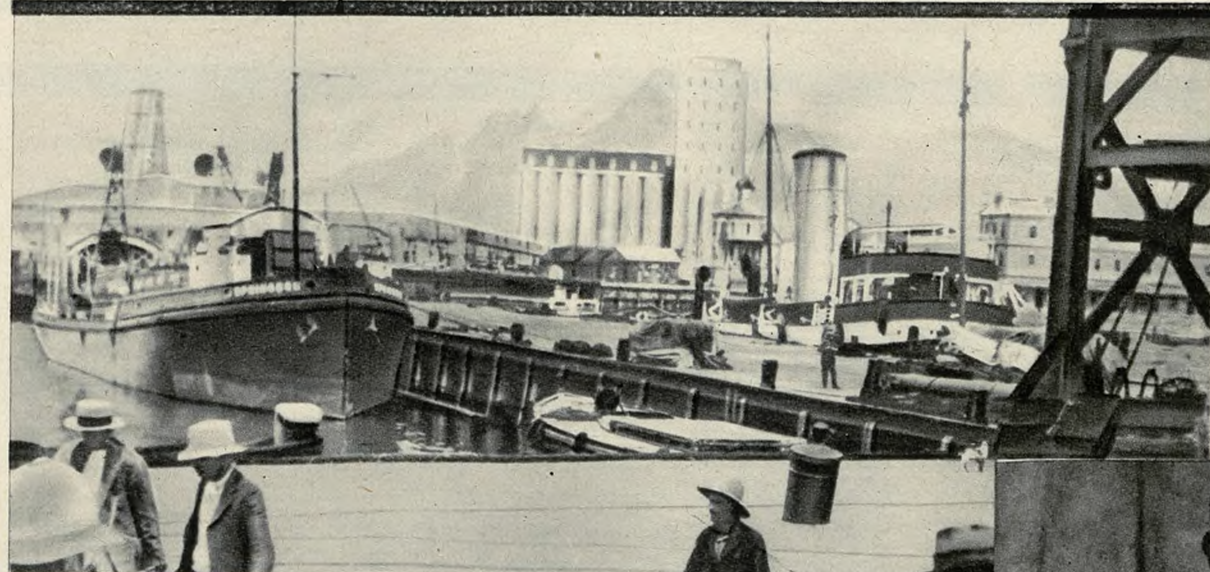

Miljarder Henryk Ford.

Od tego czasu minął rok. Skrupulatna właścicielka zakładu zegarmistrzowskiego nie omieszkała zaraz w książce swoich dłużników otworzyć konta dla Henryka Forda w Detroit i w rubryce „winien" wpisać mu kwotę mk. 4.20, tę bowiem kwotę zapomniał Ford z pośpiechu zapłacić za kluczyki. Nie omieszkała także w oknie swojego mizernego sklepiku wywiesić tabliczki z napisem: „Tutaj kupuje Henryk Ford swoje zegarki".

A tymczasem procenty rosną, a Ford swojego długu nie wyrównywa. Zniecierpliwiona właścicielka sklepu posłała mu w tych dniach rachunek, no i czeka na odpowiedź.

Ano, zobaczymy, co z tego wyniknie. Może i Ford uznał, że w czasie kryzysu nie należy długów płacić.

ILU TRĘDOWATYCH JEST NA ŚWIECIE?


W odległości kilkunastu kilometrów od Kapsztadtu, znajduje się wyspa Robben (na zdjęciu), przeznaczona dla trędowatych. Powierzchnia jej wynosi 31 km². Na zdjęciu trędowaci opuszczający wyspę Robben.

Do najstraszniejszych chorób zaraźliwych należy trąd. Wzmianka o tej chorobie znajduje się już w księgach Mojżesza. Ojczyzną jej jest Wschód i kraje tropikalne. W średnich wiekach występowała epidemicznie i w Europie. Dotąd jeszcze trafiają się wypadki trądu w Prusach wschodnich, na Łotwie i w Estonji, a także w Hiszpanji i Portugalji.

Zarazek trądu został odkryty dopiero w 1880 roku przez Hansena. Jest to lasecznik wielce zbliżony postacią i wielkością do gruźliczego. Atakuje on najczęściej skórę, na której tworzą się guzy, nieraz tak wielkie i obfite, że potwornie zniekształcają chorego. Guzy te atakują także pnie nerwowe, oraz błony śluzowe nosa, dróg oddechowych i przewodu pokarmowego. Trąd jest chorobą nieuleczalną i dlatego nieszczęśników, dotkniętych nią, izoluje się zupełnie na wyspach, gdzie żyją w zupełnem odosobnieniu.


Trędowaty Jawajczyk.

Wedle ostatnich obliczeń, liczba trędowatych wynosi: w Japonji 102.285, w Azji około miljona, w Indochinach 30.000, na Sumatrze 1.500, a w Brazylji 60 tys. Na wyspach Hawajskich, uważanych niejako za raj ziemski, na każdych 1.000 mieszkańców przypada 6-ciu trędowatych, w Senegalu zaś pięciu.

Przed kilku dniami duże zaniepokojenie wywołało w Prusach wschodnich odkrycie dwóch wypadków trądu. Jedną z chorych była 80-letnia staruszka, u której tę straszną chorobę skonstatowano po jej śmierci. Gdy się sąsiedzi o tem dowiedzieli, spalili jej domostwo.



Łosie w bagnisku na Polesiu.



Łosza z dwojgiem cieląt na mszarze koło Wyganowskiego jeziora na Polesiu.

NA RYKOWISKU ŁOSI.

Pamiętam pierwsze moje spotkanie z łosiem...

Późną jesienią (przy końcu września) przybyłem w gościnę do krewnych na Polesie. Miało się odbyć wielkie doroczne polowanie, zaś dla mnie przygotowano atrakcję wspaniałą. Miano mi pokazać rykowisko łosi. Mając popisać się umiejętnością łowiecką wobec bardzo szanownego grona myśliwych do uroczystości polowania i podchodu do łosia, przygotowywałem się z całem nabożeństwem.

Broń w żółtych nowiuteńkich futerałach, termosy, ładownice wprost od Lissowskiego w Warszawie, rynsztunek garderoby i para wspaniałych, sportowych trzewików sznurowanych aż poniżej kolana...

Gdy odświętnie ubrany i objuszony stanąłem w pełnej formie przed „wabianem“ Arsenem, ten spoglądając na zegar, tykający w szafce, zawyrokował:

— A nam panok, pora odziewać się na łosia!

Domyślając się, że prosty strzelec poleski nie zna przeznaczenia licznych instrumentów, któremi byłem obwieszony, zacząłem mu je pokazywać, wyliczając ich użyteczność.

A więc kompas, lornetkę, mapę lasu, dwie ładownice, kordelas, termos, podręczną torbę...

Strzelec mój uśmiechał się tajemniczo, aż zadecydował prosto z mostu:

— Heto irunda (głupstwo).

Skończyło się na tem, że cenne przedmioty powędrowały do szuflad biurka, buty pojechały na prawidła, a ja przebrany w chłopskie łapcie, w starym garniturze i z bronią przez ramię, pomaszerowałem do knieji.

Przewodnik i stary wyga łowiecki miał rację. Lornety Goertza, kompasy i kosztowne ładownice niezbędne są, ale przekupniowi broni, myśliwemu zaś, idącemu w poleską knieję, stają się zbytecznym i nieużytecznym balastem.

Był las... las taki, jaki spotyka się tylko na wielkich bezdrożach Polesia...

Mszany grunt, łyskający tu i ówdzie wielkiemi ślepiami wód, wielkie poduchy mchu, miękkie i elastyczne, w które gdzieniegdzie zatknięto anemiczną drzewinę, sosnę, olchę czy brzozę.

Zrudziała leszczyna tworzyła tu i tam zwarte ściany ciemnej zieleni i znów rozlewisko bez dna i znów lasek, którego drożyny znaczone są kładkami z pni obalonych drzew.

Możnaby tak całe dni błądzić, a zmęczone jednostajnością pejzaży oczy nie napotkają innego krajobrazu.

Ten las drzew mokradłowych, te labirynty trzcin, które złotą rdzą jesień już tknęła...

Tysiące hektarów lasów i bagna — to ojczyzna łosia.

Zwierzę olbrzymie, o łbie kosmatym, obciążonym koroną potężnych „łopat“, jednego tylko wymaga warunku — by żyć — przestrzeni.... Wielkich przestrzeni, ciszy i spokoju, by błądzić z miejsca na miejsce w ustawicznych swych wędrówkach, by w spokoju zaznawać długich siest w bagnie i jeziorkach, w które chroni się latem przed natarczywością leśnyc owadów.



Łoś w kłusie. Zdjęcie z puszczy Rudnickiej.

Z systematycznem trzebieniem wielkich knieji łoś cofał się coraz to bardziej na północ i na wschód, gdzie do dziś dnia zamieszkuje.

Rezerwaty Prus Książęcych, kraj kłajpedzki (Litwa), Wileńszczyzna i Polesie (Dawidgródzkie lasy księcia Karola Radziwiłła), stanowią dziś jedyne i nieliczne rezerwaty, gdzie żyje łoś.

Do niedawna jeszcze łosie zamieszkiwały obszar Królestwa Kongresowego, a w roku 1848 w lasach Lubelszczyzny ubito ostatniego byka...

Pamiętnikarz łowiectwa von Hippel wspomina o łosiu ubitym w roku 1776 w lasach wrocławskich, a kroniki dworskie Ludwika XV wspominają o niespotykanym dziś we Francji łosiu, jako o „królewskim zwierzu“.

Łosiowi jednak już w latach czterdziestych ubiegłego stulecia za ludno było w lasach zachodu, przeniósł się pierwotnie za Wisłę, a następnie za Bug i Narew.

Wielka wojna omal że nie wykreśliła łosia z rubryk zwierząt łowieckich w Europie. Opowiadał mi książę Konstanty Radziwiłł, że w dobrach jego Towiańskich (resztki puszczy Zielonki), Niemcy w roku 1915 urządzili bezprzykładną masakrę łosia, zabijając po dwadzieścia kilka sztuk tego pięknego zwierzęcia dziennie. Dopiero interwencja u Kreishauptmanna położyła kres głupiej i zbrodniczej trzebierzy.

Utrzymanie zwierzostanu łosia nie jest trudne. Poza dużemi przestrzeniami, łoś nie wymaga specjalnych pieczołowitych warunków, wysoce rozwinięty instynkt macierzyński każe mu chronić się i opiekować młodemi cielętami, w świecie zwierzęcym nie spotyka niebezpiecznego wroga (rzadko kiedy daje się słyszeć o zabiciu łosia przez wilki), najniebezpieczniejszy i najbardziej krwiożerczy przeciwnik — człowiek — odstraszony wielką odpowiedzialnością, coraz to rzadziej dybie na piękne, lecz zakazane trofeum.

Wielkie śniegowiska i ciężkie zimy zmuszają łosia do ustawicznych wędrówek w celu poszukiwania paszy, a w roku 1928, w roku pamiętnie ciężkiej zimy, zgłodniały łoś dotarł aż do miasteczka Śrkody, gdzie pospacerowawszy po mieście padł na rynku z głodu i wycieńczenia.

Jedną z najbardziej charakterystycznych właściwości łosia jest jego wprost dziecinna ufność w stosunku do człowieka. Zapędzony nagonką na myśliwego, bądź napotkawszy niespodzianie człowieka w lesie, łoś nie ucieka w strachu panicznym.

Staje, nastawia wielkie szufle swoich uszu, węszy i długo ciekawie przygląda się człowiekowi. Nie jest to osławiona „łosia głupota“, nie, jest to raczej ciekawość, która jak wiadomo, jest pierwszym stopniem... do wiedzy, lub do kuli kłusownika.

Jako szesnasto miesięczny młodzieniec, łoś po raz pierwszy w życiu kompletuje swe uzębienie, od natury obdarzony zostaje rozrożem, zaś jesienią tegoż roku wyprawia gromkie gody wrześniowe — rykowiska... Pędzony odwiecznym instynktem utrzymania gatunku — łoś przemierza wyciągniętym kłusem knieję ojczystą, głębokim stękiem nawołując klępę.

O ile zaś w oddali posłyszy głos rywala, sapiąc gniewnie i łamiąc gałęzie, sunie rywalowi naprzeciw i biada tamtemu, o ile w zabójczych zapasach na rogi okaże się słabszym.

Efektem płomiennej miłości łosia, stają się na wiosnę jedno, dwa, a najrzadziej trzy małe, niezgrabne, na nieproporcjonalnie wysokich racicach stąpające cielątka.

Miłosne zaślepienie łosia wykorzystał człowiek dla swych celów. Uzbrojony w broń kulową i brzozową tubę, zaczaja się w lesie i udając głos miłosny łosia, dmie w tubę.

Oto rogacz jakiś w zaloty pędzący, posłyszał głos rywala.

Odpowiada nam porykiem gardłowym, gniewnym, urywanym...

A „wabiarz“ dmie znowu.

Słychać teraz wyciągnięty kłus łosia i granie śledziony.

By upodobnić się do galopu zwierzęcia, człowiek łamie gałęzie, tupie i w tubę porykuje. Za chwilę poza zwartą ścianą miga ciemne cielsko.

Łoś jest tuż...

Rozgląda się teraz badawczo po okolicy, wypatrując przeciwnika. Krok za krokiem jest coraz to bliżej myśliwego.

Ale człowiek nie dmie już w wabik. W ręku jego błyska broń i pada strzał.

Łoś ginie.

Chcąc uchronić od zagłady łosia, rozporządzeniem Pana Prezydenta zakazano odstrzału tego królewskiego zwierza. Brak jednak racjonalnego odstrzału mógłby raczej zwierzostanowi zaszkodzić, niż pomóc. W jesieni przeto roku bieżącego postanowiono odstrzelić w Puszczy Rudnickiej stare łosie byki, bezpłodne i złośliwe.

Na polowanie przybędzie Pan Prezydent, a dziś już czynione są wielkie przygotowania do łowów. Zmobilizowano całe kompanje gajowych, których zadaniem jest systematyczne tropienie łosi.

— — — — — — — — — — —

Za zielonemi firankami leśnego gąszczu, zamajaczyła duża, ciemna masa zwierzęcia.

Niepojęta jeszcze w konturach, nie dająca się określić zdecydowaną jakąś bryłą czy twarzą.

Po chwili błysnęły jaśniejsze plamy „portek“ i łoś przedarłszy się przez podszycie, wypłynął na małą baliznę leśną.

Ponad girlandami gałęzi zaciążył olbrzymi, ciężki łeb.

Musi to być stary, wieloletni byk. Dolna część szczęki zakończona długą brodą, pysk nieco jaśniejszy od całości, obciążonym się zdaje masywem garbatego nosa.

Na łbie ma płaskie „łopaty“, na które w biegu nanizał rwane gałęzie i zielsko.

Na chwilę przystanął, łeb wznosi i bacznie lustruje okolicę.

Spotkanie na rykowisku.

Wielkie zwierzę, wysokości w kłębie dużego konia, wyrasta w oczach naszych do ogromu jakiejś bestji, oglądanej na kartach paleontologji.

Za krótki w stosunku do wysokich racic, przeciążony łbem wielkim brodatym, w brzydocie swojej jest jednak piękny i interesujący, ten po żubrze największy dziś w Europie zwierz łowny. Łoś węszy, sapiąc potężnie, a nie wypatrzywszy rywala, najpierw powoli, a następnie wyciągniętym kłusem sunie dalej.

Aż jęknęła ziemia puszczańska, aż zachlupotało w gąszczu ukryte rozlewisko.

Przez chwilę widzę jeszcze przez gałęzie i podszycie jego wielki kłąb... aż ginie nam z oczu.

Ale za chwilę poprzez las cichy jesienny, pobiegł stęk jego długi, niski przeciągły...

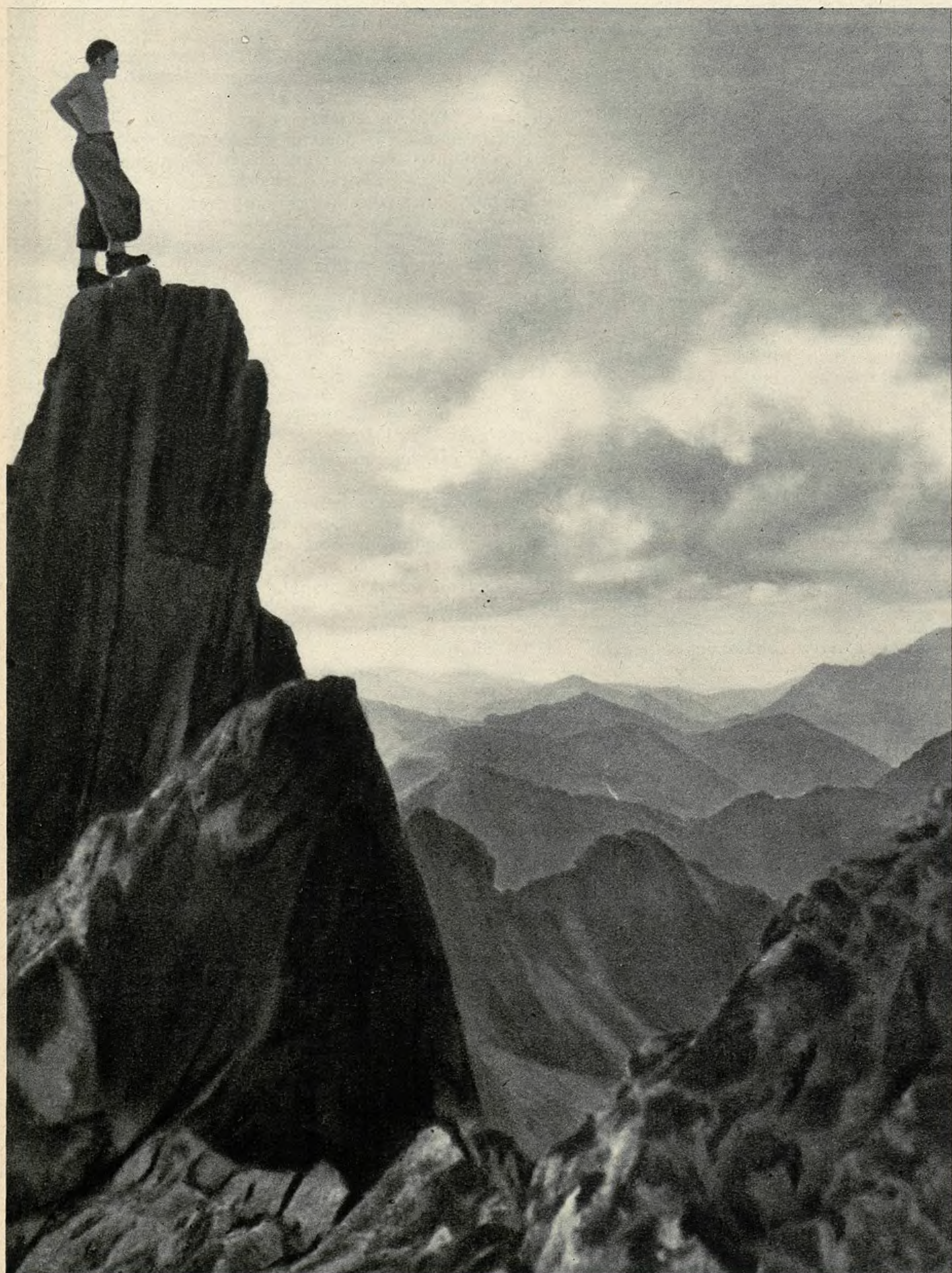
Pochwyciło go echo puszczańskie, zawirowało z nim wśród drzew i rojstów i pobiegło na wielkie bagna, parwom spłoszonym opowiadać o misterjach rykowiska.

Feliks Dangel.



Zaciszna karczma na skraju puszczy Rudnickiej.

WĘDRÓWKA GRANIĄ CZARNYCH ŚCIAN.



Uskok w grani.

Najmilszemi i najefektowniejszemi wycieczkami w Tatrach są wędrówki graniami, t. j. grzbietami, łączącemi szczyty. Nietylko bowiem pokonywa się trudności techniczne i doznaje prawdziwych szczytowych wrażeń — ale jeszcze rozkoszuje się człowiek rozległemi widokami na dwie strony. Gdy dodać do tego miłą i emocjonującą asekurację linową — ma się maximum górskich radości. W pobliżu Zakopanego niewiele jest prawdziwie ciekawych graniówek, jedne są zbyt łatwe, inne nieciekawe widokowo. Grań Czarnych Ścian, łącząca ponad szlakiem Orlej Perci Granaty z Koziemi Wierchami — dość trudna, efektowna, bardzo przepaścista, a obfitująca we wspaniałe widoki — zasługuje ze wszech miar na polecenie.

Ranek jest wrześniowy, rześki, słoneczny. Blado-błękitna kopuła nieba jak szklanym kloszem przykrywa plastyczną rzeźbę szczytów. Z radosnym pośpiechem zawiązujemy plecaki i zarzucamy linę na ramię. Harley gazuje z impetem w stronę Kuźnic. Na Hali pustki — niema turystów, nie słychać wesołego brzękania dzwonków. Góry same dla siebie roztaczają majestat i czar. Czarny Staw faluje leciuchno srebrną łuseczką na wschodnim wietrze. Na jego jasno-błękitnej toni kładzie się wiernie odbicie Kościelca, polskiego Matterhornu. Przyrodni braciszek Czarnego, Zmarzły, wyzwolony wreszcie z oków letniego lodu, mieni się ciemną barwą stali. Zgrzytają ostre haki butów na granitowym piargu, łagodne zakosy ścieżki wiodą nas ku Koziej Dolince. Z szerokiej wyrwy Zawratu zlewa się w mrok ścian Koziego jasna smuga światła. Czarne, jakby atramentowe cienie szczytów, podkreślone plamami śniegów, kładą się na jasność granackich stoków. Jest tak cicho, jakby o tym uczęszczanym szlaku zapomnieli na zawsze ludzie, świstaki i ptaki. Słońce wznosi się nad zrębami Orlej Perci i dolewa żaru w dolinny chłód. Już żleb Kulczyńskiego otwiera przed nami zalaną słońcem głąb. Już dzwonią w skałach żelazne łańcuchy i klamry, targane naszemi niecierpliwemi dłońmi. Potem uciążliwe piarżysko, na które walą się ciemne podcięte ściany — i przełączka, maleńka, wcięta, „przełączka nad doliną Buczynową". Grań nasza odchodzi z niej w lewo, piętrząc się odrazu ostrą krawędzią, połamaną w szereg zębów skalnych i iglic.

Wsunąwszy z apetytem „obiad" — chowamy plecaki, wiążemy się liną i przypuszczamy szturm do stromej grani, ściętej na dwie strony potężnemi urwiskami. Poszczególne bloki rusają się zdradliwie, trzeba się skradać po nich kociemi ruchami. Po kilkudziesięciu metrach nadpowietrznej wędrówki, przeważnie na kolanach docieramy do pionowego uskoku. Tu dwie ewentualności: albo zjazd 10 metrów na linie, albo podejście po lewej stronie. Nie mając liny asekuracyjnej, wybieramy to drugie. Obsuwamy się stromo w dół po gładkich, silnie nachylonych płytach, na których ślizgają się haki butów, a ręce nie znajdują oparcia. Stoimy w wąziutkiej przełączce, a przed nami staje dęba pionowa ścianka. Parę płytkich, lecz mocnych chwytów umożliwia nam wspięcie się na nią. Po paru metrach łatwiejszej grani znów sobowtór pierwszej ścianki. Jesteśmy na najwyższym punkcie grani, który urywa się nagle przewieszonym 12-metrowym uskokiem. Tu już niema gdzie obejść, wszędzie gładkie podcięte płyty, a górna przewieszka odpycha niemiłosiernie. Odwiązujemy się więc, składamy linę w pół, zaczepiamy na mocnym bloku i wisząc na rękach, zjeżdżamy na dwie raty ku trawiastej przełączce. Stąd grań spiętrza się w ostrego efektownego konia, po którym przejść można jedynie w pozycji, przypominającej konną jazdę. Ręce opierają się mocno na skalistej krawędzi, wciągając ciężar ciała w górę, a kolana trą po gładkich bokach granitowego wierzchowca.

Poprzez kilka łatwych zębów skalnych obniża się grań ku ścieżce, wiodącej na Granaty. Rzuciwszy ostatnie spojrzenie dumnej wyspie Tatr Wysokich, schodzimy na perć, zwijamy linę i wracamy do plecaków. Krzesane turnie przebytej świeżo grani rzeczywiście ciemnej barwy — patrzą na nas z góry. Spuściwszy się granackim kominem do żlebu Kulczyńskiego, słyszę nagle głosy ludzkie i widzę, że granią Koziego wędruje w stronę Buczynowej przełączki dwoje turystów. „Aha, robią grań" — myślę sobie. Ale nie, idą bezplanowo, jedno za drugiem, widocznie bez liny, panna naprzód. Obserwuję ich pilnie i za chwilę słyszę wyraźnie jej głos: „Tu grań zanadto wąska, spuśćmy się prosto w dół do ścieżki" — i pokazuje ręką Czarny Staw. Ku memu przerażeniu zaczynają się spuszczać pionowym czarnym kominem, a potem gładkiemi płytami prosto w paszczę przepaści... Jak się nie zerwę, jak nie skoczę na krawędź żlebu, jak nie zacznę wołać z całych sił! „Absolutnie nie schodzić, w dole podcięte ściany! Niebezpieczeństwo! Wrócić na grań, szukać ścieżki po prawej stronie grani!" Skutek był piorunujący: w obłędnym pośpiechu zawróciła nieopatrzna para w górę, a mnie się długo tłukło serce z biegu i trwogi o los tych dwojga, którzy o włos życiem mogli przypłacić szaloną lekkomyślność. Ileż już strasznych wypadków spowodowanych zostało bezkrytycznem pchaniem się w dół do widocznej jak na dłoni, rzekomo zbawczej doliny! Długo czekaliśmy na „odratowanych" ceprów, nie można ich było zostawić na pastwę błądzenia w zapadającym mroku. Wkońcu jednak cali i zdrowi ukazali się na przełęczce nad Buczynową — więc uspokojeni rozpoczęliśmy odwrót.

Snują się rok rocznie po Tatrach niezliczone i coraz liczniejsze rzesze turystów. Jedni używają tylko spacerów po halach i dolinkach, drudzy wychodzą na łatwiejsze przełęcze i szczyty — inni wreszcie, związani linami wdzierają się na najmroczniejsze ściany i najniedostępniejsze granie. Zastygłe morze tatrzańskich szczytów patrzy z jednakiem pobłażaniem na lekkomyślne wyczyny „ceprów" i swawolę miejskich łazików, na rekordy wspinaczy, wreszcie na tęsknoty i zachwyty prawdziwych swych miłośników. Nie ten jednak, kto zdobył największą ilość ścian i kominów — i nie ten, kto przewędrował bezmyślnie wszystkie utarte szlaki — zasługuje na piękne miano taternika. Taternik, prócz siły fizycznej i moralnej, zdrowia, zręczności, znajomości gór i techniki, prócz długoletniego doświadczenia — musi odczuwać szczęście w obcowaniu z górami, musi biec ku nim nie z innych pobudek, jeno z tęsknoty za czemś dobrem i pięknem, uciekając od szarzyzny codziennego życia. Taternik musi unikać rozgłosu i fanfaronady, musi umieć się oddać głębokiej, pięknej kontemplacji gór.

Taternictwo, to niebezpieczeństwo i walka. Walka z burzami, lawinami, pułapkami skalnemi — walka z własnemi nerwami, z własnym strachem, co włos jeży nad mrocznemi przepaściami. Taternictwo, to nie sport — to modlitwa ludzi, spragnionych swobody, przestrzeni i słońca. To najwyższe dobro tych, którzy wśród ciszy hal i szczytów szukają pogodzenia z życiem.



Widok z grani na Dolinę Pięciu Stawów polskich.

Zadumana jesień górska usposobia do rozmyślań i marzeń. Na ciepłych od słońca graniach patrzy się w twarz ukochanym szczytom, a oczy i myśli lecą w świetlistą dal. Z dziwną wyrazistością przesuwa się w duszy łańcuch tatrzańskich wspomnień, zawsze żywych i niezatartych — od których nie oderwie się serca już nigdy.

W czarze Tatr tonie się na zawsze i bez ratunku.

Marja Sandoz.



MODA DLA BOBASKÓW.



Granatowy płaszczyk i czapeczka marynarska są praktycznem ubraniem dla kilkuletniego kawalera.



Pullover popielaty z granatowym do popielatych spodenek. Gdy i skarpetki są w tym kolorze, całość jest bardzo miła.



Milutka sukienka z różowej crepe de chiny na dziecinny balik. Krój nadający się doskonale na przerobienie.

— Haneczka wyrosła ze swych zeszłorocznych sukienek, a Jerzyk tak niszczy ubranka, że nic nie da się przerobić...

— A moja Lula zaczęła chodzić do szkoły, więc to i mundurek i płaszczyk jej nowy potrzebny...

— Jak to dobrze, że Irusia jeszcze taka maleńka, nie ma pani tylu kłopotów co my...

— — — — — — — —

Tak na herbatce u przyjaciółki, gwarzą młode mateczki jesienną porą, obmyślając sukienki i ubranka dla swych bobasków, które rosną jak na drożdżach i potrzebują coraz to nowej odzieży.

Praktyczne panie, umiejące szyć, radzą sobie najłatwiej. W zgrabnie przerobionej sukience, przy niewielkim kosztem sprawionych, świeżych dodatkach, nikt nie pozna nawet zeszłorocznego, nieco już nawet podniszczonego mundurka starszej córeczki. Wełniana materja, w domu odczyszczona lub wyprana, zawsze wygląda schludnie przy należytem staraniu mateczki.

Moda przychodzi w pomoc o tyle, że sama poddaje ładne a łatwe sposoby łączenia dwóch materjałów w jedną milutką całość, nieraz przy pomocy motywów szydełkowych.

Roboty szydełkowe znajdują przy ubraniu dziatwy duże zastosowanie, zwłaszcza dla dziewczynek. Do układanej w fałdy spodniczki prześlicznie wygląda barwny sweterek z włóczki o jednym lub kilku żywych kolorach. — Czapeczki i szaliki, kamizelki i żakieciki z włóczki będą w zimie najpraktyczniejszym ubiorem dla dziewczynek jak i dla chłopczyków, zwłaszcza na saneczki, ślizgawkę lub narty. A czas już o tem pomyśleć, bo wykonane pracowitemi dłońmi mateczki, są te drobiazgi znacznie tańsze. Długie jesienne wieczory sprzyjają takiej pracy, którą można bez wysiłku przygotować pomału na zimę.

Później będzie milej mateczce, gdy ujrzy swą zaróżowioną pociechę w wykonanej przez nią czapeczce i szaliku, niż gdyby to były rzeczy kupione w najelegantszym magazynie.

A zima już nadchodzi.

W. W.

OTWARCIE LOTNISKA TURYSTYCZNEGO W DĘBICY.

Polsce przybyło jeszcze jedno lotnisko turystyczne. Otwarto je i poświęcono uroczyście w ubiegłą niedzielę w Dębicy, w środkowej Małopolsce na drodze Kraków—Lwów.

W uroczystościach tych wziął udział wojewoda krakowski Dr Kwaśniewski, dowódca krakowskiego O. K. gen. Łuczyński, starosta z Ropczyc Pancelewicz i wielu innych gości z bliższych i dalszych okolic.

Pogoda była nienadzwyczajna, dął bowiem porywisty wiatr i padał deszcz. Mimo to nadleciało z Krakowa kilka awjonetek cywilnych i delegacja 2-go pułku lotniczego.

Po nabożeństwie odprawionem przez ks. dziekana Zapałę, przemówił do zebranych prezes miejscowego Komitetu Ligi Obrony Powietrznej Państwa ks. Kopernicki, a następnie burmistrz miasta Dębicy p. Nagawiecki.

Nowe lotnisko przedstawia się imponująco i stanowi chlubę miasta Dębicy. Okalają je od północy rozległe lasy. Teren w tem miejscu jest nizinny, daleko dopiero na południu zaczynają się pierwsze podkarpackie wzgórza.

Licznie zebrana publiczność skorzystała ze sposobności, aby odbyć loty nad miastem. Z zainteresowaniem oglądano także szybowiec najnowszej konstrukcji i podziwiano jego pierwszy lot.

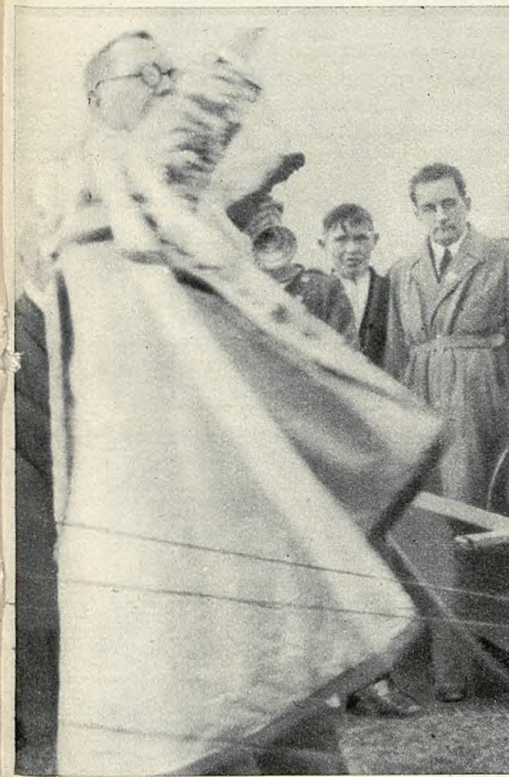
W najbliższem sąsiedztwie od Dębicy, znajduje się lotnisko w Mielcu, otwarte przed kilkoma miesiącami.



Wojewoda krakowski dr. Kwaśniewski (trzeci w pierwszym rzędzie od prawej) w czasie Mszy polowej w Dębicy. Obok po lewej gen. Łuczyński.

Msza polowa w Dębicy.





Ks. proboszcz Kopernicki błogosławi nowe lotnisko.

Oby za przykładem Dębicy i Mielca poszły także inne miasta polskie, gęsta bowiem sieć lotnisk turystycznych jest podstawowym warunkiem rozwoju lotnictwa cywilnego, które w Polsce ma świetne widoki rozwoju.



Widok ogólny na lotnisko w Dębicy. Pierwszy od lewej znany lotnik-sportowiec dr Piotrowski, który niedawno temu dokonał śmiałego przelotu z Krakowa do Szwajcarji i zpowrotem.

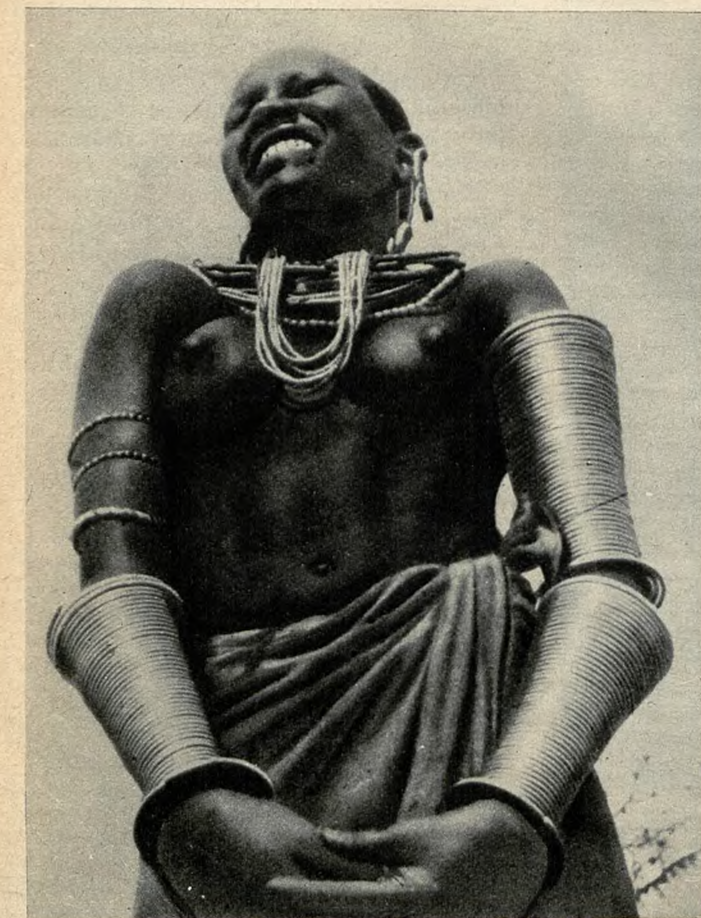
Osiem tysięcy ludzi uczestniczyło w uroczystościach otwarcia lotniska turystycznego w Dębicy.





ADAM PASZKOWICZ.

MIŁOŚĆ W AFRYCE.



Wesoły uśmiech młodej panny.

Miłość — biała, czerwona, brunatna, żółta, czy czarna, zawsze i wszędzie, pozornie ta sama.

Na całym świecie — w Europie, Azji, Afryce, Ameryce i Australji — kochają się, niby, tak samo.

Lecz twierdzić śmiem, że miłość „czarna" jest bardziej błęboka i czysta, niż „biała".

Wszyscy jesteśmy tu „biali" w poczciwej starej Europie i wszyscyśmy równi sobie w naszych demokratycznych czasach. Zaś Ląd Czarny zamieszkują i „biali" — Europejczycy i „kolorowi" — mulaci i „czarni" — murzyni. Miłość murzynów w Afryce — to jedno, a miłość mięszana — to znów zupełnie co innego.

I jeśli w Europie uczucie to chadza często krętemi drogami, to w kolonjach jej ścieżki tworzą prawdziwe labirynty, w których spotykają się kobiety i mężczyźni białej, kolorowej i czarnej rasy.

Europejczyk jest w Afryce bogiem i panem wszechświata, murzyn — pogardzanym przez wszystkich niewolnikiem, zaś mulat — jakąś nieokreśloną wielkością, pomiatającą „czarnym" i pomiataną przez „białego".

Można więc wyobrazić sobie, co się dzieje w jakiemś małem miasteczku, czy osiedlu, gdy Europejczyk zakocha się w mulatce, lub murzynce, mulat w białej, lub czarnej kobiecie, a murzyn w Europejce, lub mulatce. Gdy „biała" zapała miłością do mulata, lub murzyna, mulatka pokocha „białego", lub „czarnego", albo gdy murzynka zamieszka na prawach żony w domu białego, lub kolorowego mężczyzny.

Całe morze złorzeczeń, intryg i plotek. Całe szczęście jeszcze, że białych kobiet jest dotychczas w Afryce bardzo mało!

* * *

Nie będziemy zagłębiać się dzisiaj w otchłań tych dziwnych finezyj miłosnych, a mówić będziemy tylko o zwykłej i naturalnej miłości najdawniejszych mieszkańców i rzeczywistych władców Czarnego Lądu, murzynów.

Gdy pierwsi Europejczycy przybyli do Afryki, spostrzegli ze zdumieniem, że odkryci przez nich czarni dzikusi posiadają już różne własne odkrycia i wynalazki.

Jednym z takich wynalazków było „małżeństwo na próbę", które znalazło później tak licznych, aczkolwiek fałszywych naśladowców w Europie.

Murzyn, kupując sobie żonę na próbę, obawia się jedynie, czy małżeństwo z daną kobietą nie będzie bezdzietne. Jeśli po roku niema żadnych widoków na dziecko, kobieta zostaje zwrócona rodzicom, którzy oddają niedoszłemu małżonkowi wpłacony przez niego okup. Można wyobrazić sobie, jakie nadużycia byłyby popełniane w takich okolicznościach w Europie! O ile natomiast murzynka podaruje mężczyźnie dziecko, nie bywa wypadku, by próbne małżeństwo nie zostało zmienione na legalne i stałe. W Europie, jak wiemy, dzieje się zwykle inaczej.

Afrykańska panna na wydaniu nie potrzebuje mieć ani posagu, ani nawet wyprawy, i mąż bierze ją z domu rodzicielskiego dosłownie bez koszuli. Musi jeszcze zapłacić za nią ojcu.

Żona w Afryce nie kosztuje drogo — cena, w zależności od tych, lub innych zalet, wynosi od 10 do 20 dolarów amerykańskich, w gotówce, lub w naturze.

Murzyn, który pragnie wstąpić w związki małżeńskie, próbne narazie, musi dobrze napracować się na plantacji białego człowieka, nim zarobi potrzebną na kupno żony kwotę.

Gdy posiada już pieniądze, zaczyna odwiedzać nocne dancingi, które odbywają się pod gołem niebem, przy dźwiękach murzyńskiego bębna „tam-tam". Wypatruje sobie najpiękniejszą z tancerek i nazajutrz wysyła swatów do rodziców dziewczyny.

Rodziców, jak również i pannę, mniej interesuje osoba starającego się, niż okup, jaki uda się ściągnąć z zakochanego. Swaci więc mają dość trudne zadanie.

Dobry sprytny swat rozpoczyna pertraktacje mniejwięcej tak:

— Być piękna i silna chłopca, Kikulaganga co się nazywać. Ona chcieć się żenić na próba prędko-zaprędko i wasza mieć bardzo duża szczęście, że ona zobaczyć wasza dziewczyna. Kikulaganga być trochę ślepa i nie widzieć, że wasz córka być zabardzo brzydka. Nie wiedzieć, że ona być głupia, jak kaczka, nie słyszeć, że ją próbować już dziesięć i pięć mąż i zawsze wypędzać, bo nie mieć wcale dziecko. Wasza córka nie być wart jedna guzik, co być z żelazo, ale jeśli moja dostać od wasza jedna dolar, co być ze srebro, albo jeden koza, albo aroba fuba (miara mąki z kukurydzy), to Kikulaganga płacić za wasz dziewczyna aż trzy dolar!

Wzruszeni rodzice serdecznie dziękują za zaszczyt i godzą się oddać córkę na nową próbę, jednak żądają znacznie wyższej zapłaty.

— Wasza Kikulaganga być brzydka, leniwa i głupia chłopaka, ale to wcale nie szkodzić, jeśli zapłacić za nasza piękna córka pięć po dziesięć dolar, albo dziesięć i dwa krowa, albo dziesięć po dziesięć koza. Nasza Zabakorabala pracować zadużo i zadobrze w polu i prędko-prędko wyrastać zadużo kukurydza i ryż i kawa i palma bananowa i wszystko i Kikulaganga być zabardzo bogata. Córka nasz kiedy chcieć, to mieć każda jedna rok po dwa dziecko i tylko sama dziewczynka, która potem sprzedawać i dostawać dużo-zadużo dolary.

Po długich, często kilkutygodniowych targach, swat dobija targu i dziewczyna zostaje sprzedana za jednego dolara, jedną krowę i dwa kilogramy tytoniu do fajki.

Rozpoczyna się próbne małżeństwo, którego rezultaty będą wiadome za parę miesięcy dopiero. Murzyn przebiera czasami bardzo długo, nim natrafi na swój ideał żony.

Jakże wygląda ta miłość murzynów w małym przewiewnym szałasie, skleconym z gałęzi i trzciny, w głębi lasów dziewiczych Czarnego Lądu?

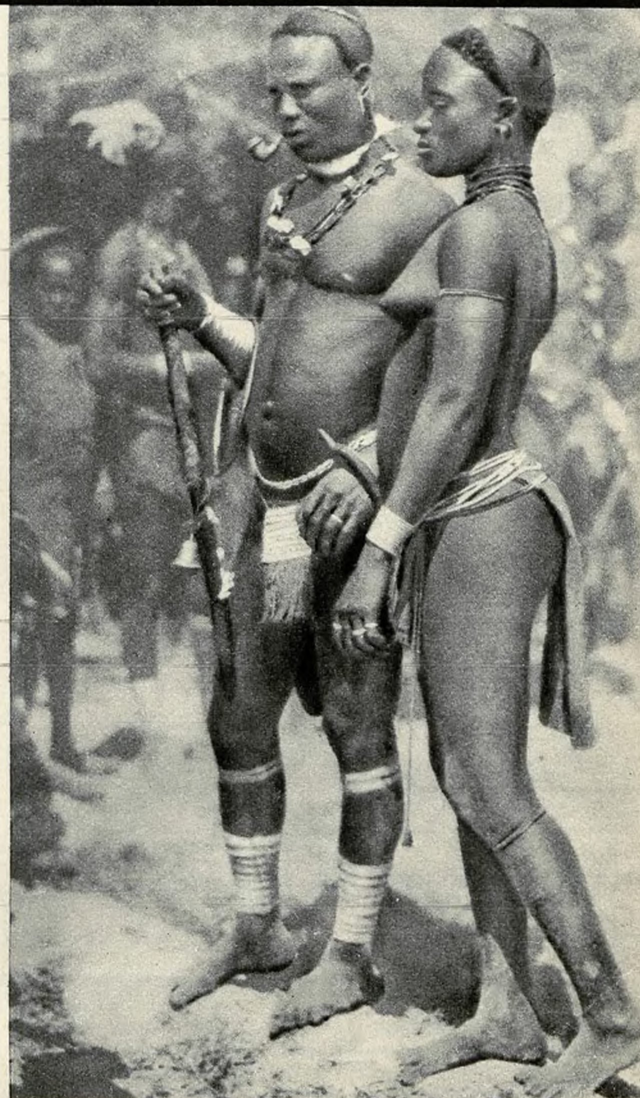
Biały człowiek niema możności zajrzeć w noc ciemną do cichego szałasu, ani do myśli murzyna, ani do czarnego serca. Lecz polując na grubą zwierzynę, dociera czasem do odległej wioski. Zarzuci karabin na plecy i zatrzyma się, by popatrzeć, jak żyją murzyni.

Widzi wtedy młodą kobietę, pochyloną nad małem, czarnem ciałkiem nagiem, rozłożonem na piasku, dostrzega pełne miłości spojrzenie matki i jej łzy radości. Spotyka na ścieżkach „anhary" tłum kobiet czarnych, z przywiązanemi na ulecach niemowlętami. Niosą na głowach ciężkie ładunki produktów, a idą tak dziesiątki kilometrów, by w sklepiku białego kupca wymienić je na rybę suszoną, oleje, sól i inne przedmioty, konieczne do skromnego gospodarstwa, a także by kupić tytoniu dla męża i mały miedziany pierścionek dla dziecka.

Ciężko pracują też w polu kobiety murzyńskie, by stworzyć dobrobyt dla męża i dzieci. Gdyż mąż, poślubiwszy pierwszą już żonę, przestaje pracować, oczekując, aż żona zarobi mu na kupno drugiej kobiety. Dochodzi tym sposobem do kilku, a czasem i do kilkunastu żon.

I żyją tak sobie cicho, spokojnie, szczęśliwie. Mąż kocha swe żony i nigdy ich nie zdradza, a żony żyją ze sobą w przyjaźni, kochają swego męża i też myśl o zdradzie do głowy im nie przyjdzie.

Dziwne zaiste rzeczy można ujrzeć w dalekiej dzikiej Afryce!



Nowożeńcy afrykańscy na uroczystościach weselnych.

Szarada.

JESIEŃ....

(Ul. St. Millerowa, Łęczno, czł. Kl. Szar.).

Kiedy z pola zwieziono już ostatnie kłosy,
Kiedy częściej deszcz pada i wicher zawodzi,
Kiedy przekwitły kwiaty, zmilkły ptaków głosy,
Wtedy wiemy już wszyscy, że — jesień nadchodzi.
  Zbliża się niby jakaś **czwarta-trzecia** blada,
  W welony mgieł spowita, ze łzami ros w oku,
  I **szóste-piąte smutek,** co na duszę pada,
  I budzi echa wspomnień ukryte głęboko...
...Marzą się **trzecie-piąte** dzieciństwa młodości,
Gdy się wśród bzów szukało pięciolistnych kwiatów,
Dni, pełne różnych przygód — wciąż nowej radości,
Dni, spędzane na łące wśród traw aromatu...
  ...Marzy się tafla wody jak kryształ przejrzystej,
  I kąpiel taka chłodna — i plaża na piasku,
  I gonitwa za ważką po trawie puszystej,
  Przedrzeźnianie kukułki i hukanie w lasku...
...Śnią się słowicze pieśni i sady kwitnące
W każde **trzecie i drugie** w nową szatę strojne,
Śnią się na płatkach róży krople rosy lśniące,
Marzą się jasne noce słodkie i upojne...
— — — — — — — — — — —
Dziś — **piąte-drugie** wicher zawodzi i wyje,
Błąka się w **szóstej-siódmej** niby duch przeszłości,
A w kominie świerszcz ćwierka — deszcz o szyby bije,
— Już **Pierwsza-siódma** Zima niedługo zagości!!...
  W polu, kędy się kłosy złociły dojrzałe,
  Gdzie skowronek wydzwaniał piosenkę o wiośnie,
  — Dziś się **pierwsze i szóste** gęsi stadko białe,
  Pastuszek na fujarce wygrywa żałośnie...
W lesie nikt już nie huka, nie szuka ochłody,
Liście tylko szeleszcząc na ziemię spadają,
— Dziwne sprawia wrażenie szara tafla wody,
Nad którą jeno wrony gromadnie latają...
  ...To jesień w mgły spowita, ze łzami ros w oku,
  Idąc, rozsiewa smutek, tęsknotę dokoła,
  Jak blada **czwarta, trzecia** idzie krok po kroku...
  ...Posępna to zaiste **cała** — niewesoła!...

Za rozwiązanie niniejszej zagadki redakcja „Światowida" przeznacza

trzy nagrody.

Pierwsza zł. 30, druga zł. 20, trzecia zł. 10.

Rozwiązania należy nadsyłać najpóźniej do dnia 22 października 1932 r. wraz z załączonym kuponem.

Rozwiązanie z Nr. 39

Pomagajmy bezrobocznym.

Trafne rozwiązanie zagadki z Nr. 39 nadesłali:

Z. Kulinowska, Białystok; „Żermena", Warszawa; A. Mola, Czechowice; J. Bielesz, Kraków; J. Głuchowska, Pińczów; W. Dąbkowski, Częstochowa; Aleks. Wodzicka, Kościelniki; Z. Żukowa, Jędrzejów; St. Sołtysik, Stanisławów; W. Pędzimąż, Zakopane; L. Nieczuja Ihnatowicz, Gdynia; Kazimierz Majde, Warszawa; „L. K. Bezrobotny z Rzeszowa"; J. Rogowski, Warszawa; Cz. Kozłowski, Warszawa; „Wrześniczek"; R. Schützowa, Poznań; T. Sobecki, Poznań; Z. Połonczowa, Warszawa; Z. Grzesiewiczówna, Kraków; Harcerze Szkoły Handlowej, Rybnik; „Wilnianin"; J. Kowalczykówna, Łódź; W. Mączka, Tarnobrzeg; T. Pendzlowa, Gniezno; T. Gretschel, Jarosław; A. Hauschildowa, Nowy Targ; St. Kornaszewski, Inowrocław; P. Feltynowski, Grodno; W. Tyblewski, Poznań; A. Borowicz, Poznań; Stan. Nowicki, Poznań; H. Szutowicz, Nowa Wilejka; por. Tad. Dadej, Warszawa; Maryla z Torunia; **Józef Kajzar, Frysztat (zł. 30.—)**; ks. L. Klementowski, Tarnopol; Manfred; Cz. Kaszubska, Sieradz; Z. Fonferko, Przemyśl; Ł. Kuźmicka, Kobryń; J. Książczakówna, Warszawa; bez nazwiska, Pińczów; „Joteł"; N. Kaz. Kozłowski, Warszawa; Wł. Pochmarski, Lwów; „Goń", Warszawa; Aleks. Wróblewska, Inowrocław; A. Rotter, Kraków; Zdz. Fischbach, Września; H. Baetge, Świecie; J. Doroszkiewicz, Królewszczyzna; J. Nowak, Dąbrowa Górnicza; A. Szmytowa, Poznań; Jan Krosnowski, Warszawa; L. Pogoda, Jaworzno; Kaz. Wojdyłło, Przemyśl; J. Bergielówna, Myślenice; N. Niekraszówna, Wilno; J. Bednarska, Kraków; R. Dergiman, Wilno; H. Ciszewska, Tczew; M. Myszkowski, Ostrów; Dzidzia Gregorowicz, Lwów; Tad. Wolfson, Katowice; Zb. Gądzikiewicz, Kraków; Ajszpur, Królewszczyzna; „Grenicheux", Warszawa; Wł. Orłowski, Warszawa; Jotcha, Olkusz; Stan. Krężel, Kraków; T. Kretkowski, Warszawa; Oleńka Słubicka, Teresin; **Marja Waksmundzka, Jasło (zł. 20.—)**; Adela Berezowska, Lwów; „Abiturjent", Lwów; Jan. Kokeszówna, Jasło; J. Lewenstein, Warszawa; J. Szarfenberg, Kalisz; Wojciech Siuta, Kołomyja; J. Englert, Lwów; M. Szewiakowa, Wilno; J. Maćkowiak, Krzywin; Józef Czerwiński, Kowel; Jawnuta, Słonim; „Marylka", Inowrocław; Wład. Gajowa, Poznań; H. Chmielewska, Starogard; Edward Skwirut, Tarnów; M. Zapiór, Kraków; Stan. Mikowska, Warszawa; Janusz Roman, Warszawa; K. Synowiec, Kraków; J. Ruta, Wieluń; M. Rundowa, Bielsko; J. Maziarz, Ozorków; Jadw. Świerczyńska, Lwów; M. Moszyńska, Lwów; J. Chłosta, Chełmno; Dymitr Dobrowolski-Doliwa, Warszawa; Jawna Kowalska, Warszawa; „Allach", Sosnowiec; S. Jankowska, Łódź; Katarzyna Dembicka, Stryj; Em. Pasierb, Tarnów; K. Chendyński, Nowa Wieś Śląska; K. Puchowicz, Warszawa; L. Korga, Lublin; Franc. Wójcik, Włochy, k. Warszawy; H. Misiewiczówna, Wilno; A. Doliwa-Dobrowolski, Wilno; M. Taras, Stryj; Fr. Wiśniewski, Warszawa; **Zuzanna Broszkiewiczówna, Kraków (zł. 10.—)**; C. Tymowska, Bydgoszcz; J. Wadowski, Kowel; J. Dobrowolska, Toruń; J. Chojecka, Poznań; Eug. Wachowiczówna, Niwiski; St. Biesiada, Ozorków; Cz. Jurewicz, Wilno; Dor. Herbstmanówna, Warszawa; Z. Tietz, Warszawa; L. Krukowski, Klęka; Jan. Miodowiczówna, Gniezno; J. Drabikówna, Warszawa; H. Łazarczyk, Ostrowiec; Eug. Broniewski, Ostrowiec; M. Mackiewiczówna, Wilno; M. Fischler, Lwów; H. Majchrzycki, Warszawa; Aleks. Kosowicz, Lwów; Stan. Synowiec, Kraków; Z. Eljaszewicz, Królewszczyzna; Mich. Wysocka, Warszawa; M. Urbanówna, Karków; M. Steculanka, Kalisz; M. Szymański, Poznań; L. Wiankowski, Lwów; Wiesław Sudolski, Kraków; Eug. Dziewoński, Kraków; Jadwiga Krasucka, Skarżysko; „Wum", Stryj.

W losowaniu o nagrodę los padł na pp. Józefa Kajzara, Frysztat (zł. 30.—), Marję, Waksmundzką, Jasło (zł. 20.—) i Zuzannę Broszkiewiczównę, Kraków (zł. 10.—, prosimy uprzejmie zgłosić się po odbiór kwoty).

Zamiejscowym redakcja „Światowida" prześle gotówkę niebawem.

WSZYSCY — ZDROWI.



— Możesz mi pożyczyć 100 złotych?
— Tyle nie mam przy sobie.
— A w domu?
— W domu? Wszyscy zdrowi.

W BEZPIECZNYCH RĘKACH.



— Dziaduniu, czy dziadunio ma jeszcze zęby?
— Oj, nie mam już moje dziecko, wszystkie mi wypadły.
— Tak? To niech mi dziadunio potrzyma orzechy, ja zaraz wrócę.

SZEWCZYK W SZKOLE.



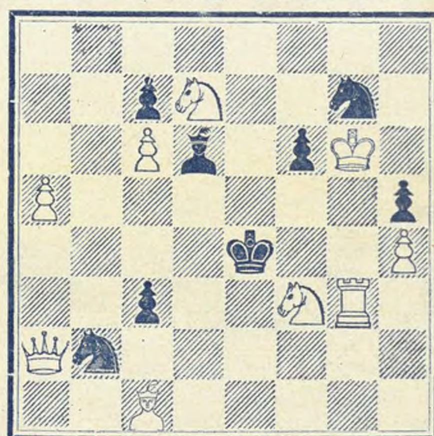
— Pocięglowski, czem jest pokryte ciało wołu? No, nie możesz sobie przypomnieć!... Z czego robi się zelówki?
— Już wiem, proszę pana profesora: Ciało wołu pokryte jest tekturą.

Dział szachowy

pod redakcją Mieczysława Gałuszki.

P. Weigardth („Hamb. Nachr." 1930).

Czarne: Ke4, Gd6, Sb2g7, piony: c3, c7, f6, h5 (8)



Białe: Kg6, Ha2, Gc1, Sd7f3, piony: a5, c6, h4 (9).

3-chodówka 9 + 8 = 17.

Mat w 3 posunięciach.

Rozwiązanie 3-chodówki P. Weigardta: 1. Sf—e5!

I. 1... f×e5 2. S—f6+i 3;
II. 1... G×e5 2. S—c5+ i 3×;
III. 1... K—d4 2. W—d3+ i 3×;
IV. 1... S—f5 (—e6) 2. S×f6+ i 3×;
V. 1... S—e8 (G—e7) 2. W—d i 3×.

PARTJA

Białe: **L. Steiner** Czarne: **H. Müller**

grana w turnieju o mistrzostwo Węgier w Budapeszcie w r. b.

Obrona Caro-Kann.

1. e4 c6	11. G—f4 a6 **(8)**
2. c4 **(1)** d5 **(2)**	12. S—d5 W—a7
3. c×d5 c×d5	13. W—c1 G—c6 **(9)**
4. e×d5 S—f6 **(3)**	14. S—c7+ W×c7 **(10)**
5. G—b5 G—d7 **(4)**	15. G×c7 H—d5 **(11)**
6. G—c4 b5 **(5)**	16. f3 S—d7
7. G—e2 S×d5	17. H—c2 G—b7
8. S—c3 S—f4 **(6)**	18. G—g3 **Czarne poddały się.**
9. d4 S×g2+ **(7)**	
10. K—f1 S—h4	

UWAGI:

(1) Polecone przez Dr. Tarrascha.

(2) 2... d6 lub 2... e5 mogło sprowadzić grę na tory obr. Philidora. Można też było grać 2... e6!

(3) H×d5 5. S—c3 H—a5 z lepszym rozwojem Białych.

(4) W swej monografji o Caro-Kann poleca Müller: 5... Sb—d7 6. S—fc3 d66 7. G—e2 (lub 7. G×d7+ H×d7 8. H—f3c5 9. d6 G—b7) S—b6 8. G—f3 S×d5 z równą grą. Becker sądzi, że 7. H—a4 (zam. Ge2) jest korzystniejszem' W—b8 8. G—e2 b5 9. H—b3 S—b6 10. G—f3 G—b7 11. a4.

(5) 6... G—g4 7. H—a4+ z przewagą B.

(6) Także po 8... S×c3 9. d×c3 Białe miałyby doskonałą grę.

(7) Należało grać 9... S×e2!

(8) 11... e6 12. S×b5 G×b5 13. G×b5+ S—d7 14. d5 z przewagą Białych.

(9) Po 13... S—c6 14. S—c7+ W×e7 15. G×c7 H×c7 16. d5 Czarne tracą jakość.

(10) Gdyby 14... K—d7 to 15. d5 poczem G—b5+.

(11) 15... H×c7 16. d5 H—bé 17. d×c6 S×c6 18. H—d5.

NIC GO NIE CIESZY.



Żona: — Wiesz co, Adolfowi podobno uciekła żona, ale wcale po nim tego nie widać!

Mąż: — Biedny człowiek, on już jest tak zrezygnowany, że go już nic nie cieszy.

ŚWIATOWID WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ W KRAKOWIE, POZNANIU, WARSZAWIE, LWOWIE I WILNIE.
Prenumerata kwartalna zł. 12.50. Zagranicą zł. 15.—.
REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Kraków, Wielopole 1.
TELEFONY: 156-60 (centrala), 150-61, 150-62, 150-63, 150-64, 150-65.
Oddział w Warszawie: Krakowskie Przedm. 9, Tel. 208-63 i 234-65.
Numer konta P. K. O. w Krakowi 404.200 — w Warszawie 140-725.

CENA OGŁOSZEŃ:
Strona dzieli się na trzy łamy (szerokość łamu 80 mm.) 1 mm. w jednym łamie 1 złoty. Ogłoszenia zamieszczone jako jedyne na stronie (tak zwane „solus") — 1 mm. w jednym łamie 2 złote. Ogłoszenia, zamówione jako jedyne na stronie („solus"), jeżeli ze względów technicznych nie będą mogły być zamieszczone według zlecenia, będą drukowane jako ogłoszenia zwykłe po cenie normalnej.

Wydawca i naczelny redaktor:
MARJAN DĄBROWSKI
Kierownik literacki i redaktor odpowiedzialny: Dr. JÓZEF FLACH.
Zakłady graficzne „Ilustrowanego Kuryera Codziennego" w Krakowie pod zarządem Feliksa Korczyńskiego.

KUPON Nr. 42 upoważniający do

TYDZIEŃ PROPAGANDOWY „STRZELCA".

Jak corocznie, odbył się z początkiem b. m. na całym terenie Rzeczypospolitej tydzień propagandowy „Związku Strzeleckiego". Organizacja ta, powstała jeszcze przed wybuchem wojny światowej, miała już wówczas jako cel swój ostateczny przywrócenie niepodległości Państwa Polskiego czynem zbrojnym, przygotowanym przez komendanta Piłsudskiego. Gdy cel ten został osiągnięty, „Związek Strzelecki", wiernie trzymając się ideologji swego Twórcy i krzewiąc ją w całym kraju, wszystkie swoje poczynania kieruje ku utrwaleniu tej niepodległości i wzmocnieniu jej. Zwłaszcza w obecnych czasach, kiedy mimo nawskróś pokojowych tendencyj polityki polskiej stoimy, jako państwo ciągle pod groźbą wrogich nam żywiołów, ideologja „Strzelca" nie straciła nic na swojem znaczeniu. To też „Związek Strzelecki" nietylko pielęgnuje dawne tradycje, ale programem swoim obejmuje nowe, coraz to szersze zadania. Kładąc główny nacisk na ćwiczenia strzeleckie, organizacja ta pracuje nad ogólnem, zarówno fizycznem, jak i duchowem wyszkoleniem młodego zwłaszcza pokolenia, by zdolne ono było każdego czasu stanąć w obronie krwawo zdobytej niepodległości. W dziedzinie sportu „Związek Strzelecki" osiągnął już na rozmaitych zawodach bardzo poważne wyniki. Obecnie rozszerza wobec zbliżającej się zimy tę część swego programu sportowego, propagując, szczególnie na Podhalu, sport narciarski. Osobnym terenem pracy „Strzelca" jest prowadzone dopiero od kilku lat, lecz już bardzo wydatnie. Przysposobienie Rolnicze, oparte na szerokich podstawach i związane ściśle zarówno z zasadniczym programem „Strzelca", jak i z warunkami terenu agrarnego.

Tydzień propagandowy „Związku Strzeleckiego" objął całą Polskę, z natury rzeczy jednak najokazalej i najżywiej ujawnił się w Krakowie, gdzie idea ta już przed wojną główną miała ostoję. Inauguracyjne uroczystości tygodnia jak i dalszy ciąg trafnie obmyślanego programu, wypadły w Krakowie bardzo okazale, dając najszerszym kołom społeczeństwa dowód, jak ważną i jak silną jest ta organizacja.



Komendant Okręgu Zw. Strzeleckiego p. mjr. Ludwik Naimski w czasie defilady w dniu święta „Strzelca" w Krakowie. Ag. fot. „Światowida".



Prezes Zarządu okręg. nr. 5 „Związku Strzeleckiego" p. płk. Dr. Mieczysław Kaplicki. Ag. fot. „Światowida".



Komenda okręgu i Zarząd Powiatu „Strzelca", podczas wizytacji świetlicy „Orląt" w Krakowie. (Stoją od lewej ku prawej pp. wiceprez. Kasztelewicz, zast. komenda Kiciński, skarbnik Czerwiński, kom. Zamorski, w tyle ref. sport. Karcz). Ag. fot. „Światowid".

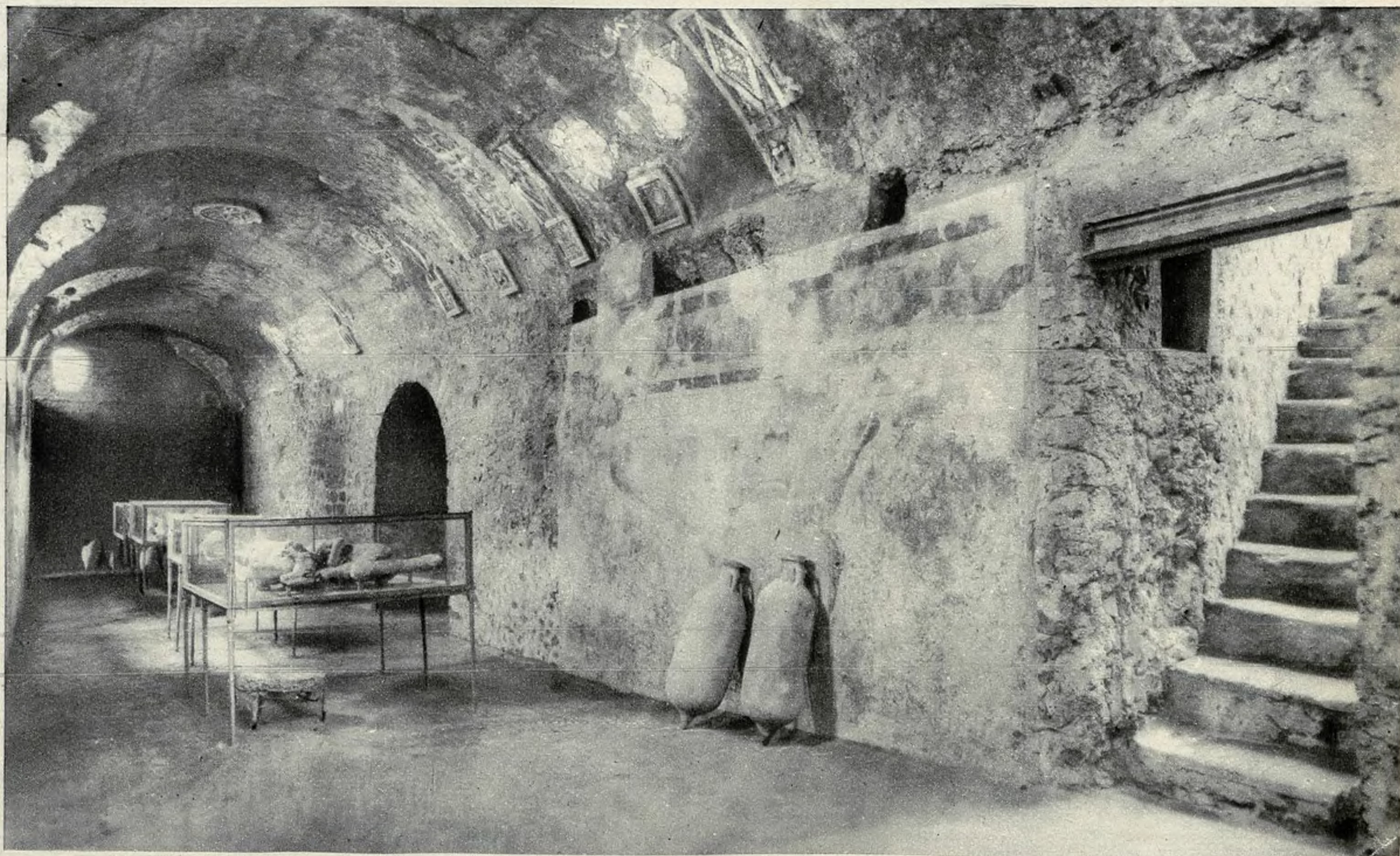
NOWE WYKOPALISKA W POMPEI.

Mussolini, który w naród swój stara się wmówić, że dzisiejsza Italja jest spadkobiercą tradycji dawnego, świetnego imperjum rzymskiego, nie zaniedbuje żadnej sposobności, aby wydobyć na światło dzienne, względnie odbudować i zakonserwować to wszystko, co z epoką Cezarów jest związane. Dla wydobycia więc dwóch historycznych galer Kaliguli nie waha się osuszyć jeziora Nemi, dla wydobycia forum Juljusza Cezara, zburzył całą dzielnicę Rzymu, obecnie zaś, pomimo kryzysu, są prowadzone badania archeologiczne w Herkulanum i Pompeji. W ten sposób tworzy się niejako jedyne w swoim rodzaju muzeum, w którem ogląda się dwa starożytne miasta, wydobyte z pod lawy, w takim stanie, w jakim znajdowały się w 79-tym roku przed Chr., kiedy to straszliwy wybuch Wezuwjusza, który nastąpił dnia 24 sierpnia, pokrył je grubą warstwą popiołu i lawy, pod którą spały one, aż do r. 1713. Zczasem bowiem kilkunastometrowa warstwa lawy stwardniała i zamieniła się w skałę, a pamięć o Herkulanum i Pompeji zaginęła zupełnie, na miejscu zaś tych osad powstały dwie nowe, a mianowicie Portica i Resina. Dopiero przy kopaniu studni w 1713 r. robotnicy natrafili na trzy posążki bronzowe, które zakupił do swoich zbiorów książę Eugenjusz Sabaudzki.

Teatr i Forum herkulańskie odkryto w 1738 r., na głębokości prawie 27 m pod powierzchnią ziemi. Dziś prowadzą tam schody o 112 stopniach. Oprócz teatru odkopano zwaliska świątyń, oraz wiele domów, z których szczególnie na uwagę zasługuje Villa Pisona.

Łatwiejsze badania są w Pompeji, ponieważ teren, na którym leżą, nie jest tak zabudowany, jak w Herkulanum.

Obecnie ukończono roboty na Via della Abbondanza w Pompeji. Przy tej sposobności odkryto kilka ciał ludzkich, zastygłych w lawie. F.



Kryptoportyk na Via della Abbondanza w Pompei. W gablotkach szklanych widoczne ciała ludzkie, zastygłe w lawie. Ag. fot. „Światowida".

JANUSZEK I JEGO GĄSKI.



FOT. LUDWIK ŚLIWA, POZNAŃ.